Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

JULIUSZ SŁOWACKI

KSIĄDZ MAREK

POEMAT DRAMATYCZNY
W TRZECH AKTACH

Tower Press 2000
Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

AKT PIERWSZY

Szopa wyporządzona jak na zebranie koła rycerskiego. Wchodzą: Starościc z Barku i Towarzysz Pancerny. Słychać z daleka śpiew konfederacki.

TOWARZYSZ

Słyszysz pieśni – oto z pola
Rycerze nasi wracają.

STAROŚCIC

Mam taką harfę Eola
W Anielinkach, nad strumykiem;
Lecz jej struny tak nie grają
Z szumem liści, ze słowikiem
Tęskno – dziko i żałośnie,
Jak ta pieśń, co w hymny rośnie.

TOWARZYSZ

Wracają pełni zapału,
A ksiądz Marek, karmelita,
Ludziom błogosławi z wału.

STAROŚCIC

Jak miło, gdy młodość rozkwita!
Gdy krwią biją wszystkie żyły!
Rzucić się pod sztandar Boży,
Co w stepach, z dawnej mogiły
Jak tęcza, którą na chmurach

Słońce gdzieś ojczyste tworzy,
Błyska i na złotych piórach
Dusze rycerskie unosi.–
A ta pieśń, co Boga prosi
O łaskę, politowanie;
Taka miła jak pieśń dziecka,
Rubaszna – jak pieśń szlachecka,
Święta jak organów granie,
A świeża jako zaranie
Przyszłych nadziei narodu:
Tak trzęsie całą mieściną,
Że bez żadnego powodu,
Kiedy słucham – łzy mi płyną.

PIEŚŃ KONFEDERATÓW
za sceną

Nigdy z królami nie będziem w aliansach,
Nigdy przemocą nie ugniemy szyi;
Bo u Chrystusa my na ordynansach,
Słudzy Maryji!
Więc choć się spęka świat i zadrzy słońce,
Chociaż się chmury i morza nasrożą;
Choćby na smokach wojska latające,
Nas nie zatrwożą.
Bóg naszych ojców i dziś jest nad nami!
Więc nie dopuści upaść żadnej klęsce.
Wszak póki On był z naszymi ojcami,
Byli zwycięzce!
Więc nie wpadniemy w żadną wilczą jamę,
Nie uklękniemy przed mocarzy władzą,
Wiedząc, że nawet grobowce nas same
Bogu oddadzą.
Ze skowronkami wstaliśmy do pracy
I spać pójdziemy o wieczornej zorzy,
Ale w grobowcach mu jeszcze żołdacy
I hufiec Boży.
Bo kto zaufał Chrystusowi Panu
I szedł na święte kraju werbowanie;
Ten de profundis z ciemnego kurhanu
Na trąbę wstanie.
Bóg jest ucieczką i obroną naszą!
Póki On z nami, całe piekła pękną!
Ani ogniste smoki nas ustraszą,
Ani ulękną.
Nie złamie nas głód ni żaden frasunek,
Ani zhołdują żadne świata hołdy:

Bo na Chrystusa my poszli werbunek,
Na jego żołdy.

STAROŚCIC

Ponieśli dalej sztandary,
Poszli dalej z bronią w ręku,
A ta pieśń na fundum wiary,
Anielskiego pełna jęku,
Ściąga nam cudy – zjawienia,
Przelotne niebios humory,
Gwiazdy z grzywą, meteory,
Nocne słońca – łby z płomienia,
Szwadrony w zbrojach nieznanych,
Po obłokach malowanych
Idące truchtem i cwałem,
A jak wczora, sam widziałem,
Będąc na straży w mieścinie...
PANA, naszego obrońcę,
Co siedmiomieczowe słońce
Zapaliwszy, stał na chmurach.
I nie sam świadczę o cudzie,
Ale wszyscy moi ludzie,
Wszyscy szyldwasi na murach
Widzieli ten wizerunek
Doloris, jak brał kierunek
Ku wschodowi, świecąc miastu.
Widać, że nasz okręt tonie,
Że potrzeba nam balastu,
Więcej szabel... więcej ducha,
Więcej serca w naszym łonie:
Bo ta wielka zawierucha
Niebios wszystkich nas pochłonie.

TOWARZYSZ

Ksiądz Marek wczoraj to z ducha
Wytłumaczył na ambonie,
Mówiąc o różnej pokusie.
Miecze te, powiada, bolu,
Bolące w Panu Jezusie,
To są gorsze od kąkolu
Wady na ojczystym polu,
Z których boleść ma Ojczyzna.
Pierwszy miecz, co w niej usterka,
Mówił, jest to francuszczyzna,
A drugi miecz – to szulerka,
A trzeci – to kieszeń stratna,
A czwarty – kobiece rządy;

Piąty – to przedajne sądy,
A szósty – zawiść prywatna,
A siódmy – zgniłe sumnienie.
Te wszystkie, mówił, ościenie
W jednym sercu, co je mieści,
Zatknięte ręką morderczą,
Jako błyskawice sterczą;
Jak słońce srebrne boleści,
Słonecznik siedmiomieczowy,
Co ma w środku serce Boże,
A na rękojeściach głowy
Do panów naszych podobne.
I znów o każdym upiorze.
O każdym mieczu magnacie
Mówił powieści osobne,
Jak sędzia na majestacie
Sądzący zbrodnie czerwone...
Potem kazał przed ambonę
Przynieść trumnicę z kościarza
I sam, z ognistą powieką,
Nogą odrzuciwszy wieko,
Kiedy się pył ruszył z kości,
Krzyknął: „Oto proch cmentarza,
Który w żywych obecności
Będzie sądzon, jak wy sami
Kiedyś, nakryci trumnami,
Przez lud będziecie sądzeni...
Oto jest proch z trupa rdzeni!
Oto jest jedna z piszczeli,
Co może na karabeli
Spoczywała do starości".
„Jeśli ty" – mówił do kości –
„Spod twojej rysiowej delii
Przy czytaniu Ewangelii
Szabli dobyłaś na światy?
Ręko! bądź błogosławiona! –
Lecz jeśli wy, stare gnaty!
Wy, spróchniałe dziś ramiona!
Wy, drżące palców kosteczki!
Dla jakiej prywatnej sprzeczki
Dobyłyście z pochew miecza,
Chłopską porąbały chatę!
Jeśli ty, ręko człowiecza,
W sygnetach a krwią ociekła,
Podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów?
Jeśliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów
I poiłaś go piołunem?

Ręko hańby, idź do piekła!”
Rzekł i kością jak piorunem
Uderzył z czarnej ambony
Pomiędzy lud przerażony,
W sam środek szary motłochu,
W sam środek czerni szepczącej
O tej kości latającej,
O tym poruszonym prochu,
O tym niespokojnym grobie.
Aż ksiądz, znowu ręce obie
Zanurzywszy w trumny łonie,
Czerepem się na ambonie
I głową trupa oświecił.
Czerep pacierzom polecił
I czcił pogrzebową rzeczą;
To go malował w przyłbicy,
T w karbunkułach korony,
To w cierniach, co kość kaleczą:
Aż ten czerep uśmiechniony,
Wziąwszy prawie twarz człowieczą,
Co się uśmiecha, nie sroży:
Jak drugi spowiednik Boży
Zaczął nauczać z ambony...

STAROŚCIC

A tymczasem obrażony
Pan marszałek, szlachta cała,
Tym ruszeniem z grobu ciała,
Tym urąganiem z magnatów,
Tą obelgą antenatów,
Zamyśla porzucić sprawę.

TOWARZYSZ

Co mówisz?

STAROŚCIC

Bedą ciekawe
Dzisiejsze panów narady.
Patrzaj, regimentarz blady
Z manifestem o głos prosi;
Ale oczy nie podnosi
Na czoło marszałka dzielne.

Wchodzą i zasiadają na ławach: Pan Marszałek Konfederacji Krasiński, Pan Regimentarz Pułaski, Ks. Przełożony Karmelitów... i wielu ze szlachty.

REGIMENTARZ
z manifestem w ręku

W imię Boga nieśmiertelne!
I w imię Bożego Syna!
I w imię Bożego Ducha!
Przed tym światem, co patrzy i słucha,
Jak się nasza krew tu lać zaczyna
I wulkanem pomsty z nas wybucha,
I wulkanem jęków świat przeraża –
Przed ziemią, co nas spotwarza,
Że już ojczyzny nie mamy
I o nią się dobijamy
Z mieczem w ręku – przed tronami,
Któreśmy kiedyś zakryli
Od Tutka naszymi szablami –
I przed dzieciątkiem, co kwili –
I przed starcem, co grób kopie –
I przed chłopakiem, który siada
Jak Ceres na złotym snopie
I płacze, gdy o nędzy gada –
Przed magnatem, co krew żłopie,
Ludu wnętrzności wyjada
I złoto skrwawione chowa –
I przed tą, która jest wdowa
Po mężu za kraj poległym –
I przed wiekiem już ubiegłym –
I przed tym, co w czasów prądzie
Na sąd trupów naszych idzie –
Wydarci przeszłej ohydzie
Stajemy z tym pismem na sądzie;
Sądem krwi nie przerażeni,
Ani dumni, ani bladzi:
W środku rzezi i płomieni,
Przy biciu gwałtownych dzwonów;
Pany na czele czeladzi,
Wodzą na czele szwadronów,
Księża tłum prowadząc niemy
W blasku krzyżów i kagańców,
Danych świętych zmartwychwstańców;
Na sądzie wszyscy stajemy!
I podnosząc ręce blade,
I wskazując racy wzięte,
Tę wszystkich narodów zdradę
I to morderstwo nieświęte
Na naszych spełniane ciałach
Rzucamy w czasu koryto.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że na tych przekleństwa skałach

Zatrzymane ludów wody
Pierś swoją o nas rozbiją –
Staną i w kałużach zgniją,
Nie mogąc wejść na te wschody,
Któreśmy sypali sami
Wiekom – kładąc się trupami.
Bogdajby kiedyś odkryto,
Że tu, gdzie nas zabijano,
Ludów patronkę zabito;
Że tu, gdzie Polski kolano
Pierwszy raz przed nędzą klękło:
Nowa jest ludów Kalwaria –
A tam, gdzie jej serce pękło,
Gdzie zapłakała jak Maria:
Jest miejsce lamentowania –
A tam, gdzie ją kat pogania
Knutem, cierniami i spiżem,
A ona padła pod krzyżem
W koronie z blasków słonecznych:
Jest miejsce upadków wiecznych
I śmierci okropna przystań –
A tam, gdzie matka rycerzy,
Choć w grobie, w grób nie uwierzy:
Jest miejsce wieczne zmartwychwstań –
Jest duch, co z grobu wyrywa –
I kos żadnych się nie boi.
Panowie! to miejsce stoi!
To miejsce! – Bar się nazywa.
Tu my, rycerze bez plamy,
Z odkrytą przed Bogiem głową,
Pod chorągwią Jezusową
Za kraj nasz pomumierany,
Zatknąwszy wieczne sztandary
Dla miłości i prawdy, i wiary.

MARSZAŁEK

Szanowny regimentarzu,
Mówisz tak, jak na Golgocie,
Mówisz tak, jak na cmentarzu.
I tak by się nam w istocie
Należało dziś zachować;
Krzyże nosić i całować,
Samym je zatykać w ziemię,
Nauczając przyszłe plemię,
Jak los przeciwny pokona –
Za prawą rękę i lewą
Dać się przybijać na drzewo,
Aby widział nasz morderca,

Że otworzywszy ramiona
Pokazujemy i serca.
Ale sądzę mój kolego,
Że wola Nieśmiertelnego
Chowa nas na większe czyny.
Więc z tej ubogiej mieściny,
Gdzieśmy się teraz zamknęli,
Nie chciałbym uczynić jeszcze
Grobu dla obywateli.

REGIMENTARZ

Panie! przechodzą mię dreszcze!
Z gwałtownego chłonę żaru!...
Pierwszy raz ktoś mówi w radzie
O hańbie.... o wyjściu z Baru...

MARSZAŁEK
dobywając wpół szabli

Hańba! Cóż to mi ty?...

REGIMENTARZ

Panie,
Niech twoje słowo zostanie
W gardle, szabla niech się kładzie
Do snu i niech się nie budzi.
Dawno ja żyję sród ludzi!
Z różnymi panami żyłem,
Obelgi nieraz znosiłem
Dla ojczyzny i dziś zniosę.
A jeśli kto mimowolną
Obaczy na rzęsach rosę
U obelżonego starca?
To wszakże i mnie mieć wolno
Przy białej siwiznie marca
I lód, co szkłem w oczach świeci...
Bo ja mam aż czworo dzieci,
A czworo żywych pod niebem;
A gdy na mnie hańba spada,
To, panie, tym jednym chlebem
Nas pięcioro się najada...
A czy to łza w oczach stoi
I błyszczy w źrennicy biednej,
To pięciorgo się napoi,
Panie, z tej jednej łzy wielkiej...
Bo kto na świat się nie gniewa,
Często, chociaż łez nie lej,
W serce – rzeki łez wylewa.

MARSZAŁEK

Jeślim obraził – boleję.

REGIMENTARZ

Dosyć. Gadajmy o Barze.
Więc wola jest rzucić miasto...

MARSZAŁEK

Dosyć spojrzeć tu na twarze...
Żaden tu nie jest niewiastą
Ani dzieckiem nie jest w duchu;
Widziano nas przy harmatach...
Lecz dać się ciągnąć w łańcuchu?
I przy ruskich kazematach
W błocie przed Braneckim legać?
Mnie – co jestem z panów panem,
Nazywać jego hetmanem?
I grzeczności z nim przestrzegać?
Być jego sługą? Gdy mogę,
Do Turczech dziś pojechawszy,
Jutro tu powrócić krwawszy,
Zgnieść tę moskiewską stonogę,
Stanąć mu butem na głowie,
Królowi napędzić strachów. –
Cóż? – Czy nieprawda, panowie,
Że tak lepiej!? z hufcem spachów!?

SZLACHTA

Lepiej!

MARSZAŁEK

Zgodne głosy słyszę...
A oto patrzcie,

dobywa listu.

Tu pisze
Pan Potocki, nasz podczaszy,
Że Turek już Moskwę straszy
Nad Prutem, stanąwszy w sile...
Cóż mu! po naszej mogile?

SZLACHTA
krzycząc

Do Turków całymi szwadrony!...

Wchodzi Ksiądz Marek.

KS. MAREK

Niechaj będzie pochwalony
Jezus Chrystus. –

na stronie

Szatan głuchy
Żadnej nie dał odpowiedzi.
W tej szopie widać złe duchy
I zło – co otworu śledzi.
Aby zerwać naszą zgodę.

głośno

Gdzie tylko okiem powiodę,
Zasmucone widzę twarze...

REGIMENTARZ

Mój księże, źle z nami w Barze.
Myślemy z miasta uchodzić.

KS. MAREK

A miastem kto ma dowodzić?

REGIMENTARZ

Na cóż dowództwa w pustoszy?

MARSZAŁEK

Dosyć tej wojny kokoszy!
Tej manifestów papierni!
Byliśmy krajowi wierni
I wiernie jemu dotrwamy.
Lecz tu w Barze już nie mamy
Prochu, jadła ni pieniędzy.
Gorszy pocałunek nędzy
Niż pocałunek Judasza;
I wszystkie cnoty rozpłasza,

KS. MAREK

Marszałku! panie narodu!
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
Otruł się na miejskiej wodzie?
I pomyślał o tym w głodzie,
Ażeby naród opuścić? –
Pan Bóg ci może odpuścić,
Jeśli to się w głodzie stało,
Jeśli twoje biedne ciało
Zaczęło się trząść na kości...
Pan Bóg jest pełny litości,
Jeśliś głodny był – przebaczy...
Lecz panie! o ta stodoła
Tego mi nie wytłumaczy,
Przez jakiego ty anioła
Ducha – byłeś ogłodzony?...
Powiedz, czy upiór czerwony,
Jakie rodowe widziadło,
Odpycha od ciebie jadło?
Straszy cię? jeść nie pozwala?
Albo krwią okrzepłą kala
Ten chleb, który bierzesz w usta? –
Mówisz o nędzy? – Ta pusta
Stodoła, ta szopa Żyda,
Panie, pałacem się wyda,
Jeśli ją który z twych wnuków
Ujrzy wygnańca oczyma.
Patrzaj, co tutaj jest bruków
Z jedwabi... gdzie okiem trącę,
Dywan na powietrzu trzyma
Srebrne gwiazdy i miesiące,
Kwiaty, takie winogrady,
Ża dają oczom pokusy.
Więc także blade turkusy
Patrzą niby na obrady
Z szabel brylantowych czoła
Jakoby oczy aniołów.
Więc ten dom i od kościoła
Bogatszy, bo dół kościołów
Często z ludzkich trumien bywa –
A tu morze złotem pływa
Po pas w tej żydowskiej stajni.
Więc jeżeli wy przedajni? –
Czego nie daj, Boże wielki –
Kto was kupi? gdzie są fanty?
Kto znajdzie takie brylanty,
Co by waszej krwi kropelki

Były godne? warte były?...
Więc wyznaj, że ani nędza,
Ani głód jedzący żyły
Poradził – ale ta jędza,
Co krew polską dawno chłepcze,
Tchórzostwo do ucha szepce...
Nie chwytaj za miecz, człowieku!
Ja ksiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie,
Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa – nie przez nasze czyny.
Szanuj sen świętej dzieciny,
Która, gdy oczy otworzy
A uczuje boleść ciała,
Najpierwej będzie płakała,
Taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona,
I brak matczynego łona
Tak ją w żłobeczku rozkwili.
Szanuj! – bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki,
Bogu i ziemi na chwałę
Poczęło się dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś wiedział, jak one
Przed narodami wystrzeli,
Jaką ogromną koronę
Włoży – jakie berło chwyci:
Chociaż wódz obywateli,
Co są w rodach znakomici,
Nie śmiałbyś przed tą maleńką
Ruszyć ni szablą, ni ręką
I stałbyś tam u podwoi,
Jak żebrak prze królem stoi.
Ja ci nie powiem, kto ona,
Pozwalam jak szaleńcowi
Pożyć, a sam też w ramiona
Nie wezmę piastować żłobu:
Bom jest już podobny snowi,
Bliski męczeńskiego grobu.
Ale że tu jest to dziecię,
To wiedzą małe ptaszęta
Świegocące mu w błękicie,
Gdzie słoma wichrem podjęta
Błękit niebios pokazuje...
Koń to już wojenny czuje,
W kącie stojący przy sianie,
Bo kiedy poczucie ducha
Pójdzie ludziom w urąganie:

To świat go podlejszy słucha
I nieraz harfą się stanie,
Na którą Duch Boży dmucha,
Aż słońce się ludziom odsłoni...
Człowieku! niech cię Bóg broni,
Abyś zwątpił o proroctwie!
Bo wkrótce! w całym sieroctwie
Twego nieszczęsnego rodu,
Gdy odrzucon od narodu
Krwią się do krzyża przyklei,
Sercem przylgnie do przyszłej ojczyzny:
Nie zostanie – prócz nadziei –
Żadnej po ojcach puścizny;
Nie zostanie, gdy wyjęczy
Całą boleść; tylko, panie,
Oto się chwytać tej tęczy,
Którą przez wieków otchłanie
Z proroczych ust teraz ciskam...
Więc się nie dziw, że tak błyskam
Jak Mojżesz duchem natchnięty,
Żem jest jako ów Jan święty,
Widzący to – co ja widzę...
Bo zaprawdę – jestem w lidze
Z duchami i ze świętymi!
A chociaż niski na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją!
I kończą się gdzieś w bezkońcach,
W świecie – gdzie gwiazd zawierucha,
W gwiazdach, w meteorach, w słońcach,
Za słońcami – w słońcu ducha.

MARSZAŁEK

Czegóż chcesz w tej egzaltacji?
I co ma ona za związek
Tu?... gdzie pierwszy obowiązek
Zbawić panów, naszych braci.
Szlachetnych ludzi ostatki?

KS. MAREK

Panie, zostań! z tej gromadki
Nie zginie żaden.

MARSZAŁEK

Kto ręczy?

KS. MAREK

Pan.

MARSZAŁEK

Co za znak?

KS. MAREK

Zagrzmi działo.

Po chwili milczenia słychać strzał.

Czy słyszycie, że zagrzmiało,
Aż belka w stodołach brzęczy
Jak echo kościelne nad ludem?

Wchodzi Artylerzysta Polski.

ARTYLERZYSTA

Panie, pękło nam na ćwierci
Jedno działo, ale cudem, ale cudem
Puszkarze uszli od śmierci,
Myślą, że świat cały runął,
Śledzą, kto ognia podsunął,
I kupią się – a szlachectwo
Już krzyczy: „Ogień i zdrada!...”

MARSZAŁEK

Czyli to boskie świadectwo
I głos, który z niebios gada?
Czy zrządzenie przypadkowe?
O to nie zachodźmy w głowę.
A jeśli takie portenta
Brać nam za rozkazy z nieba?
To harmata rozpęknięta
Mówi... że wyjeżdżać trzeba
Unosząc ducha i serce.

Wstaje.

KS. MAREK

Zabierz z sobą te kobierce,
Własnością są twego rodu.

MARSZAŁEK

Gdzie ja ogrody zasadzę,
To ptaszki z mego ogrodu,
Nawet gdy się wyprowadzę,

Mają prawo żyć wiszniami:
Choć tu jedwab jest murawą,
A hafty złote drzewami;
Ten, kto ma do gruntu prawo,
Ma prawo do drzew i kwiatów.

Wychodzi

KS. MAREK

Więc sprzęt twoich antenatów
Pójdzie do Żyda rabina,
Który wynajął stodołę.

REGIMENTARZ

Upadać Polska zaczyna!
Zarzucam żupana połę
Na oczy, by nie widziano,
Czy z twarzą wstydem rumianą,
Czy z twarzą łzami zalaną
Stary Pułaski odchodzi.
Pole teraz waszej młodzi,
Niechaj nowe gniazdo lepi;
Bo oto my, wodze starzy,
Jako żebrakowie ślepi,
Uchodząc z narodu straży,
Ręką macamy, gdzie wrota,
Co na wygnanie prowadzą.
Niech wam duchy boskie radzą!
Niechaj rośnie patryjota
I nowy kościół zakłada...
Co do mnie – byłaby zdrada,
Gdybym nie szedł za Podole,
Gdzie pan marszałek nas wiedzie...

KS. MAREK

Szable zostawiasz na stole!

REGIMENTARZ

Kto był na cudzym obiedzie,
Nie bierze sztućców gościnnych,
Ale zostawia dla innych,
Zaproszonych na dzień drugi;
Weźcież miecz Pańskiego sługi,
Przeze mnie tu zostawiony,

I czyńcie nim, co potrzeba:
Na ucztę wołajcie wrony
I kruki, i pomsty z nieba.

Wychodzi

KS. MAREK

Szabla mi się nie należy.
Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.

Przypasuje pałasz.

KS. PRZEŁOŻONY KARMELITÓW

Ja także na żadną zgrozę
Nie wydam Pańskich ołtarzy;
Lecz obnażę z relikwiarzy
I sakramenta uwiozę,
Aby splamione nie były.

KS. MAREK

A cóż nam zostawiasz? Mogiły?
Ojcze! Ojcze przełożony!
Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznej mieścinie,
Co podobna do okrętów
Na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden, o panie,
Ranny wołał sakramentów?
Rękę swoją kładł na ranie,
Głowę zwiędniałą pokłonił
I tchu duchowego bronił
Z rozpaczą w zawrotnej głowie:
A Pan Bóg przyjdzie i powie
Słowo ostatniej pociechy:
„Przebaczone ci są grzechy!
Duszo święta, wychodź z ciała!”
Gdyby jeden został taki
Najlichszy między żebraki?
Pańska by przy nim została
Myśl i miłość Pańska przy nim. –
A myż co, mój księżę, czynim?
My, co o jutrze nie wiemy,
A tu grzeszni zostajemy,
Aby tego jutra dożyć:
Gotowi żywot położyć,

Nakryć się prochu mogiłą,
Ducha oddać w ogniu, w dymie,
Byle się tylko święciło
Przenajświętsze Boga imię
W obliczu świata i szyków,
Nad trupami schyzmatyków:
Byle hostie krwią rumiane,
Wilgotne naszymi łzami
I w niebo egzaltowane
Drzącymi rannych rękami,
Egzaltowane i drzące,
Póki stanie mocy w kościołach,
Świeciły na wysokościach
Ludom, jak pełne miesiące
Pośród pożarnych płomieni. –
A gdy na to odważeni
Zostajemy tu na rzezie,
Ty myślisz, ojcze wielebny,
Że nam Bóg jest niepotrzebny,
Charłakom jęczącym w nędzy? –
Więc pan tej jedwabnej przędzy
Nie chciał zwlekać przez hajduki
I zostawił złote bruki,
Po których chodził wspaniale,
Jak na opuszczonej skale
Morze swe perły zostawia!
Więc drugi, którego wsławia
Nie ród, lecz wielka ofiara,
Droższa od pereł, rubinów,
Uczyniona ze krwi synów –
A przecież, kiedy go wiara
W moc własnej szabli odbiegła,
Zostawił ją, aby strzegła
Rzeczy od człowieka świętszych,
Kościołów i serc gorętszych
A osadzonych na Bogu
A ty sam z kościoła progu
Uchodzisz! ksiądz poświęcony!
I gdybyś twymi ramiony
Mógł, co Samson z dawnych czasów,
Wyrwałbyś bramy z zawiasów
I poniósł z sobą wydarte,
A potem przedawał ćwieki...
A gdyby co były warte
Okna, co patrzały wieki
Niby źrennice tęczowe,
Które anioł w ołtarz wsłupił,
W skrwawioną Chrystusa głowę:
Tobyś je, panie, wyłupił,

A potem nosząc przedawał
Kawał szkła – za ziemi kawał,
Łan tęczy za łan pszenicy. –
Ja wiem, że w twojej winnicy,
Gdy zbierzesz, coć urodziła,
Nie będzie ptaszyna piła
Słodkiej rubinowej wody
Z żadnej sierocej jagody;
I zaćwierka gdzieś na płotach
Mówiąc: „Jak ci ludzie Bozi
Zapomnieli o sierotach!...”
Lecz ksiądz, co Bogu uwozi
I ucieka z Nim za bramy?
Tego my jeszcze nie znamy
W Polsce od dawnego wieku!
A co ty wiesz? ty, człowieku!
Czy Bóg nie chce zostać z nami
I patrzeć, jak umieramy?
I karmić sakramentami?
I dusz naszych wszelkie plamy
Krwią swoją obmywać drogą?
A co ty wiesz? czyli trwogą
Włożon do twoich zanadrzy
Duch sakramentów nie zadrzy?
I nie zlęknie się tych kości,
Gdzie żaden już duch nie gości? –
A co wiesz? czy tajemnice
Po sakramentach zamknięte
Nie pierżchną by gołębice,
Nie zlecą się w jedno święte
Miejsce – gdzie były już miecze,
A teraz jest pokój Boży –
W to biedne serce człowiecze,
W moją pierś, co się otworzy
Pełna radośnej boleści
I wszystkie! wszystkie pomieści!
Nie – Boga nie weźmiesz zgoła,
Boć to nie jest tobie dane...
Oto idę do kościoła,
Sakramenta porwę w dłonie
I pójdę – i śród kul stanę.

KS. PRZEŁOŻONY

Temu księdzu na ambonie
Tumanić ludem zakażę.

Wychodzi

KS. MAREK

Idźcie! idźcie! – a ja w Barze
Z ostatkiem ludu zostanę.
Zbiorę całą moją rzeszę,
Tęcze moje chorągwiane
Na miejskich wałach rozwieszę
I odprawię nabożeństwo
Święte do krwawego krzyża:
A Pan, co ludy uniża,
Da mi tryumf – lub męczeństwo
I swoją wolę pokaże.

Wychodzi z resztą szlachty. Wchodzi Żyd Rabin.

RABIN

Teraz my tu gospodarze.
Zamiećmy izbę po panach.
Nu – jest zysk na tych dywanach.
Kto zyska, a kto też straci
Na tej to konfederacji –
A Moskal dywany kupi. –
Judyt! Judyt! – hejne! hejne!

Woła do drzwi bocznych. Wchodzi Judyta

RABIN

Nu, co ty, szejne morejne,
Zapłakana? – Szlachcic głupi
Nagadał się i wychodzi...
A mnie pan marszałek dobrodziej
Nie zapomniał! pan kochany! Podarował mi dywany.
Nu, czemu ty, głupia, szlochasz?

JUDYTA

Ojcze, jeśli ty mnie kochasz,
To porzuć te darowizny.
Na co nam? – My bez ojczyzny!
Na co nam takie wystawy?

RABIN

To dobrze, ale te ławy
I te makatne pościele
Ja schowam na twoje wesele,
Aby ty na nich usiadła.

JUDYTA

Obwiniesz mnie w prześcieradła,
Złożysz trupa na drabinie,
Każesz wynieść, nim zadniało...
A jak goim spotka ciało,
To przeżegna się i minie,
A jak dziecko – to będzie się bało
I u matki się rozpłacze,
I pod rantuchem ukryje...
Nu, a jak kruk – to zakracze,
Nu – a jak pies – to zawyje,
A jak księżyc – to pobladnie,
A jak gwiazda – to upadnie,
A jak słońce... Nie, my Żydzi,
Nas nigdy słońce nie widzi
W prześcieradła obwiniętych,
Szybko na cmentarz niesionych; –
Bo my na prawach przeklętych
Pośród ludzi, przerażonych
Nasza modlitwą gorącą,
Naszą mogiłą stojącą,
Krwią białych macowych przaśnic
I blaskiem naszych szabaśnic,
I tajnych komor ciemnością,
I tą żółtą naszą złością,,
Co się w oczach jadem kręci:
My tu na wieki wyklęci
Jak ogromne cherubiny,
Co w trumnach zamkniętych siedzą.
Nu – a ci ludzie nie wiedzą,
Co ja mogę – kiedym sroga,
Co ja wiem – od Pana Boga,
Jaki ja im garnek z gliny
Ulepię – co duchem zrobię...
Jaki duch w mojej osobie?
Nu – ja wczora na konwalie
Na mogiłki poszła nasze
I patrzała na batalie,
Na działa i na pałasze –
A w prochu był obłok jazdy,
A kule jak srebrne gwiazdy,
A bomby nad nimi w górze
Jako płomieniste róże,
A wystrzelone harmaty
Jeszcze do góry dymiące
Jak z ogniów siarczanych kwiaty,
A podkowy koniów – jak miesiące!

Nu! – ja tak patrząc z mogiłek
Na te ognie, na te krew,
Zmarszczyła na czole brew,
Wzięła gliny kilka bryłek,
Wzięła z grobu trochę piasku
I przeciwko temu blasku
Rzuciła – że poszli w nic
Jak tysiąc zagasłych świec,
Gdy wiatr przeleci bożnicą. –
Bo ja była błyskawicą!
Duchem, co krwią pole broczy!
Śmiercią – gaszącą ich oczy!
Naszej wiary tajemnicą!
Aniołem na boskich posyłkach,
Który piorunami strzela!
Zmartwychwstaniem Izraela,
Stojącym już na mogiłkach!
A przed Bogiem – małą mrówką,
Przed aniołami – aniołem;
A śród popiołów – popiołem,
A przed ludźmi – jak zawsze Żydówką
Pogardzoną.

RABIN

Nu, Judyta –
Ty pierwszy raz jesteś taka?
Słyszę tam pana Polaka,
Co się o austerie pyta.
Zakryj się – bo ty w płomieniach
Za jasna na jego oczy.

Wchodzi Klemens Kosakowski.

KOSAKOWSKI
do sług za karczmą

Niechaj tu Grzegórz zatoczy
Mój karaban... a tu w sieniach
Powiązać moje brytany...
A tu ćwieki wbić do ściany
I pozawieszać szturmaki,
Szable, kindżały, kulbaki.
A wymieść dom Żyda brodą.

do rabina

Żydzie! staję tu gospodą.

RABIN

A panie, a kto ty taki?

KOSAKOWSKI

Niech tego Żyda wywiodą
I zakneblują mu pyski.
Kto ciekawy, szpiega bliski.

RABIN

Nu, żartuje pan wielmożny.

KOSAKOWSKI

Żydzie, ze mną bądź ostrożny,
Bo u mnie – Żyda powiesić
To tak jak w pejsy go trzepnąć..

RABIN

Nu – a czy ty umiesz wskrzesić?
Ty możesz, człeku, oślepnąć
Patrząc na niewinną krew.

KOSAKOWSKI

Patrz, pierś mam taką jak lew,
A nozdrza takie jak koń,
A w żyłach gwałtowną skroń,
A włos koloru płomieni.
Biada! kto mię zarumieni,
Ale temu stokroć biada,
Przed którym twarz mi się blada
Stanie – by opłatek Boży.
Lew się ducha we mnie sroży
I rzuca się, i rwie ludzi,
Wprzód nim się rozum obudzi.

do Judyty

Żydówka, ściągnij mi buty.

Judyta klęka i całuje mu nogi.

Co robisz?

JUDYTA

Całuję twe nogi.

KOSAKOWSKI

Co to jest? – Precz mi z podłogi!

JUDYTA
na kolanach

Panie! ty wczora z reduty
Jako Judasz Machabeusz
Skoczył na moskiewskie działa.
Ja cię z mogiłek widziała
Śród panów – choć ty chudeusz
W szaraczku, a oni w złocie,
W turkusie i w karmazynie –
To ty chodził po dolinie
Na koniu – jak Golijat jaki.
Włos twój był jak ogień w grzmocie!
Czapka jak srebrzyste ptaki,
Jak orzeł, co z nieba runie
I usiądzie na piorunie!
Nu, a twój koń był czerwony
I ubrany cały w druty,
I czterema miesiącami podkuty;
A w boju taki szalony
I tak ogniem z pyska strzela,
Jak smok w pismach Izraela. –
Otóż ja tu, Żydowica,
Do nóg ci, panie, upadła
I twój proch ustami kradła;
Bo tyś jest z królów narodu;
Ja z narodu – niewolnica,
Z Jerychańskiego ogrodu
Róża, między obce ludy
Przesadzona i kwitnąca;
A królewna z rodu Judy...
Nu! niech mię twa noga trąca!
W piersi mię podkówką wytnij!
Niech się moja pierś zbłękitni
I twego herbu dostanie
Od twojej czarnej podkówki...
Ja wiem, że dla mnie, Żydówki,
Ty jest król, wielmożny panie!
Ale ja powiedzieć chciała,
Czego zamilczeć nie mogła,
Że ja twej szabli pomogła,
Kiedy ty leciał na działa...

RABIN

Nu, Judyt – ty oszalała!

JUDYTA
wstaje i odsłaniając welon mówi z gniewnym zapałem.

Ja Judyt! ja Judyt – Judyta!
Nu, ja nie straszna nikomu,
Póki moja twarz zakryta!
Ale z oczów mego gromu
Ja cisnę na was zagładę,
Bo ja duch, co wszystko odmieni.
Nu, ja kiedyś wezmę i szpadę
Jasną – ze złotych płomieni.

Wychodzi.

KOSAKOWSKI

Rabinie! czy ta szalona
To córka twoja? czy żona?
Wcale nie mam do niej wstrętu.
Czysta, mało ma akcentu.

RABIN

Panie, to jest moja córka.
Dziewica.

KOSAKOWSKI

Cha! cha! cha! Żydzie!...

RABIN
na stronie

Ten człowiek patrzy na Turka.

KOSAKOWSKI

Słuchaj mnie, żyłem w bezwstydzie,
Na kartach i pijatyce,
Kochałem i Żydowice,
I szlachcianki, i Cyganki:
A tak mnie zna Litwy księstwo,
Że gdyby nie moje męstwo,
Dawno by mnie już – na drzewie...

Czyni gest duszenia się.

A jednak do mnie się czepi...
Tak w serce Bóg coś zaszczepi,
O czym często człowiek nie wie,
A w sercu to Boże ziarno
(Choć się szlachcic oddał biesu)
Działa jak ziarno magnesu,
Tak że się doń ludzie garną
I kochają. – Człowiek taki
Na coś musi być potrzebny.
Otóż ja, ów łotr haniebny,
Ów Kosakowski pyszałek,
Tak się umiem dać we znaki,
Mam za sobą tyle gałek
Sejmikowych, tyle szabel,
Furdyng, rapierów, karabel,
Ile ich ma sam Radziwił.
A jużem raz świat zadziwił,
Porwawszy aż sejmik cały,
Palestrę i trybunały
W jednym miasteczku na Żmudzi;
I z sotkiem tych różnych ludzi
W kontuszach i taratatkach,
Ubranych w niedźwiedzie burki,
Niektórzy w żelaznych siatkach,
A ci w lisy, ci w marmurki,
A ci przy szablach w jaszczurze,
A drudzy niosąc dwururki
Pozaczepiane na sznurze
Jako hiszpańskie gitary:
Cały, mówię, ten tłum szary
Wiodąc jak stare żurawie,
Pokazałem się w Mitawie,
Gdzie wtenczas Sas Karol młody,
Bez wojska i bez pieniędzy,
Oblężony, prawie w nędzy,
I bez chleba, i bez wody –
Bo pompy Moskal poimał –
W zamku się książęcem trzymał
Jako pszczoła w głębi ula,
Mając na to rozkaz króla,
Aby dzierżał swoje księstwo;
Rozkaz! – patent na męczeństwo!
Bo sejm zamiast posłać szyków
Posłał mu dwóch senatorów,
Jakby rzec, dwóch spowiedników,
Dwóch nietoperzy, upiorów,
Dwie chorób, dwie dżum i krupów,

Dwóch sejmowych kościotrupów
Posłał mu sejm. – Senatory
Dziwny w potrzebie rynsztunek! –
Otóż ja mu na ratunek
Przyszedłem i umysł chory
Podparłem... (jak brytan wierny,
Choć go czasem i nie karmią,
On przy domie jak odźwierny)
Tak ja przed moskiewską armią,
Poleciwszy duszę Bogu,
Położyłem się na progu
Warcząc, bo mi tam, mospanie,
Brakło zębów na kąsanie.
I tak my Polacy górą
Lub z Moskalem oko w oko.
Aż z carską inwestyturą
Przyjechał Biren z Sybiru.
Zda się, że go wiedźmy wloką
Na tron śród wroniego skwiru,
Kacią zbryzgały posoką
I pokazały spod chmury
W płachcie z moskiewskiej purpury
Przemrożonego do kości.
Jego oczy pełne złości
I ognia, jak owe doły
U bałwana ze śniegoły,
Przestracha na arendarzy:
Co jak latarnie cmentarzy
Przez wydrążone dwie jamy
Leją płomieniste błamy
Światła... we mgle gorejące
Jako cmentarne miesiące...
Ten trup ciągle nam wybladły
Groził – te oczy nas jadły...
Bo nie ma straszniejszej rzeczy,
O! Żydzie, nad wzrok człowieczy,
Błyszczący w sińcach wygnania
Jako w oprawie ze stali:
Wzrok, który chęć królowania
Rubinem piekieł zapali...
Otóż patrz na moje oczy,
Takie są jak u Birena.
Odmienionać wprawdzie scena,
Tu się rzecz o naród toczy,
O poklask idzie gromadny,
Nie zaś o tron samowładny:
Ale mi to Bóg nadarzył,
Że magnateria ucieka;
A potrzeba znów człowieka,

Co by się na wszystko ważył
I los, który się wałęsa,
Ćwiekami przybił do siebie.
Takim obaczą w potrzebie
Kosakowskiego Klemensa...
Bo choć ksiądz o Bogu gada,
To w szable wierzy gromada;
Choć tu ksiądz o cudach gęda,
Od szabli idzie komenda;
Choć tu w żywot wieczny wierzą,
Do mnie żywoty należą.
Ja miasto mam w moim łonie,
Ja go ogrzewam – ja bronię,
Ja na wroga wyprowadzę
Nawet karczmy, nawet mury;
A kiedy trzeba? do góry
Jak wulkanem je wysadzę
Bez drzenia, bez drgnienia powiek. –
Teraz wiesz – com jest za człowiek;
Więc – mój kochany rabinie,
Oto na ten skrypt książęcy
Musisz mi dać sto tysięcy
Dukatów i milczeć głucho,
Bo nawet trup twój zaginie,
Jak namiot przed zawieruchą
Wichrem Jehowy zmieciony.

RABIN
przeglądjąc skrypyt

Nu, panie – ja milijony
Wydam zaraz na skrypt taki...
Ja nie wiem, dla kogo one,
Ale będą zapłacone
Tej nocy... mam dwa przetaki
Złota... sługa niski pana!

KOSAKOWSKI

Żydzie, to skrypt na sułtana,
Na nim ty nie będziesz tracił,
Choć się jak cytryna wyciśniesz...
Lecz jeśli mi przed kim piśniesz,
Żeś mi taki skrypt zapłacił?
Żydzie!... tak mi pomóż, Boże!
Nic cię z mych rąk nie wykupi.

RABIN

A ja byłbym, panie, głupi,
Gdybym gadał, nim otworzę
Kredyt – u Wielkiego Turka.

KOSAKOWSKI

Niechaj ani twoja córka,
Ani firanki u łóżka,
Ani pod głową poduszka
Nie słyszą jednego słowa.

RABIN

A czy żadna inna głowa
O tym nie wie?

KOSAKOWSKI

Żadna inna.

RABIN

Nu! to moja będzie winna
Albo pańska, jeśli o tem
Kto na powietrzu zagada.

KOSAKOWSKI

Zaraz mi przychodź ze złotem.

Żyd wychodzi.

Jak mi na serce spada
Kamień! – Cudzy pieniądz biorę;
Skrypt na Potockich pisany.
I w złocie kradzionym piorę
Brudny honor mój karciany.
Groszów publicznych grabieżą
Przeszłe me opłacam długi.
Zabiłbym, gdyby kto drugi –
Lecz sam to nazwę – kradzieżą.

Wchodzi Rabin z pieniędzmi i uderza go po ramieniu.

Kto to jest?

RABIN

Nu – rabin, panie,
Z pieniędzmi – nie miej strachu...
Chodźmy do stancji na dachu
Liczyć... póki w skarbie stanie...

Wychodzą oba. Wchodzi Judyta i Jozafat.

JUDYTA

Chłopaku, chrześcijaninie,
Zapal mi, proszę, latarnię,
Chodź – i za mną nieś tę skrzynię...
W miasteczku ciemno i gwarnie.
Weź szablę i pistolety,
Weź kij, co psy odpędza.
Pójdę do świętego księdza. –

JOZAFAT

Do księdza?

na stronie

Z tej się kobiety
Zrobił szatan stujęzyczny.

JUDYTA

Zapal ten kaganiec śliczny,
Tę latarnię z pargaminu,
Co jako księżyc z bursztynu
Po ciemnych ulicach chodzi;
Księżyc, który na srebrnicy
Róże malowane rodzi
I rzuca po błotach ulicy,
Gdzie ja, Żydówka, przechodzę,
Tęczę – za most mojej nodze;
Kwiaty rzuca na kałuże,
Abym stąpała na róże...

JOZAFAT

na stronie

Co ten zły duch przez nią plecie
O papierowej łojówce!
Co za język w tej Żydówce!...

JUDYTA

Nu – pudło trzymaj na grzbiecie.
Nie gadaj nic, ale prowadź,
A pomnij, by fanał nie zgasnął.

Wychodzą. Wchodzi Kosakowski i Rabin.

KOSAKOWSKI

Żydzie! ktoś tu drzwiami trzasnął,
Ktoś wyszedł.

RABIN

Nu – złoto schować
A nie dbać, czy tu kto chodzi.
Niech się pan rotmistrz dobrodziej
Nie boi... Niech pan naczelny,
Taki wojak wielki, dzielny,
Żydowi także zaufa.

KOSAKOWSKI

Ćwiekami nabita kufa
Dla ciebie, Żydzie, gotowa,
Dla twoich kości i grzbietu;
Jeśli ten dom nie dochowa
Tak jak mogiła – sekretu...
Pamiętaj – źle z tobą będzie,
Mój krwawy Dyjogenesie,
Jeśli kto słowo wyniesie
Za dom. – A gdzie twoja córka?

RABIN

Nie wiem; może jedwab przędzie,
Może z jedwabnego sznurka
Zwleka perły kałakuckie...
Dziewczyna ma serce ludzkie –
Może gotuje balsamy,
Szarpie strzępi dla szpitali
Albo się w modlitwie pali
I płacze jak Rachel u Ramy.

KOSAKOWSKI

Zawołaj mi ją.

RABIN

A po co?

KOSAKOWSKI

Bo ona wyszła za bramy.

RABIN

Nu – ona nie chodzi nocą.

KOSAKOWSKI

Łżesz, Żydzie. – Oto ci powiem,
Że kiedyś ty liczył złoto,
To ja na uliczne błoto
Spojrzałem w ciemne czeluście;
I gdzieś pod księżyca nowiem
Postać, cała w białej chuście,
Jak słup w bieliznę ubrany,
Mgłą owinięta pochmurną,
Za księżycem z porcealny,
Za powietrzną jakąś urną
Złotą, świecącą dokoła
Jak lilija, co kielichem
Złotym oświeca anioła:
Postać taka do kościoła
Szła i spotkała się z mnichem.
Ten mnich – to ksiądz karmelita,
A ta postać – to Judyta.

RABIN

Panie mój – to być nie może.
Judyt! – nie ma jej w komorze! –
Nu, prawda, że poszła. – Judyta! –
Nu, ja nie wiem, jasny panie,
Gdzie moja córka ukryta?
Pójdę na poszukiwanie.

Wchodzi Jozafat z latarnią.

A gdzie ty bywał, mój sługo?

JOZAFAT

Pannę rabinównę wodził.

RABIN

A gdzie z twoją panną chodził?

JOZAFAT

O tym rozpowiadać długo.
Gdybyś mi był na Wielkanoc
Dał na kolędę złotówkę,
Powiedziałbym, gdzie Żydówkę
Odprowadziłem dziś na noc.

RABIN

Jozafacie, ja ciebie odpędzę!

JOZAFAT

Czytujesz w Talmudu księdze,
A nie wiesz, gdzie córka chodzi?

KOSAKOWSKI
otwierając drzwi do szynkarni

Hej! Albeńska moja młodzi,
Proszę tu do mnie z szynkarni.

Wchodzi Bojwił i Litwinów kilkunastu w kurtach szarych, w czapkach przeszytych drutami.

Panowie, kto wami dowodzi?

BOJWIŁ

Ty, jak zawsze, diabeł Klemens,
Infernum nec Deum tremens;
Na róg przysięgliśmy sarni
I na buty Radziwiła.

KOSAKOWSKI

Otóż wybieram Bojwiła,
Namiestnikiem go stanowię;
Jeżeli się tylko dowie,
Że mię na koniu widziano
Z tą srebrną szablą nad głową,
I w ręku z tą chustą rumianą:
Niech mi da rycerskie słowo,
Zgiąwszy przed Bogiem kolano,
Że mój karaban zaprzęże,

Mój trzos weźmie i manatki
I wyjedzie za rogatki
Nie dbając na warty księże...
A choćby sto gromów trzasło
I świat drzał, niech nie uważa,
A na takie moje hasło
Powiesi tu arendarza...

do rabina

Dobry jesteś i uczynny,
Więc niechaj ci twarz nie bladnie;
Bo jeżeliś ty niewinny,
To ci włos z głowy nie spadnie.

do Litwinów

Wziąć go i strzec... Niech za bramy
Nie wychodzi... Gdy ujrzycie
Mój znak, to go powiesicie.
Przysięgacie?

LITWINI

Przysięgamy!

AKT II

Plac w Barze, ubrany jak na Zielone Świątki w brzozy, klony i jarzębiny... Wchodzą Ksiądz Marek, Judyta i Starościc z Barku.

KS. MAREK
do Judyty

Wracaj, Izraelitanko,
I bądź o ducha spokojna,
Niedługo będziesz wygnanką.
Na to się toczy ta wojna,
Na to ja moją siwiznę
Ofiarowałem – kość złożę,
Aby silne duchy Boże
Miały na ziemi ojczyznę
I sztandar sercom zatknięty.
Więc manele, dyjamenty,
Któregoś ty Bogu złożyła,
Przyjmę... A ty, duchom miła,
Już miłości nauczona,
Chociaż przez krwawe ramiona
Chrystusa i Boskiej Matki
Jeszcze nie obcięta z cierni,
Ale jako polne kwiatki
W słońca jasnego farbierni
Umalowana sowicie
W Izraelowej purpurze,
W polskich bławatków błękicie;
Jeszcze nie biała lilija,
A już pachnąca jak róże;
Strzeż serca, co się rozwija,
I łez wiszących nad rzęsą:

Bo mówię ci, przyjdą burze
I duchem twoim zatrzęsą;
Z drogi cię może zawrócą
I trupem pod nogi mi rzucą
Jak garstką przeklętych kości.
Idź, córko – i trwaj w miłości.

Błogosławi klęczącą Judytę, która wstaje i w milczeniu odchodzi.

STAROŚCIC

Panie! Klemens Kosakowski
Po całym cię mieście szuka.

KS. MAREK

Nad tym człowiekiem gniew boski.

STAROŚCIC

Księże, lecz to śmiała sztuka!
Głowa zła, lecz serce złote.

KS. MAREK

Otóż obaczysz, jak zgniotę
Tę głowę, tę czaszkę całą,
Aby serce ocalało.

STAROŚCIC

Jak to?

KS. MAREK

Z miasta go wygonię.

STAROŚCIC

Lecz on ku miasta obronie
Potrzebny... wódz tego steku...

KS. MAREK
przerywając

Bóg tylko potrzebny, człowieku.

STAROŚCIC

On ma partyzantów wielu...

KS. MAREK

Posłuchaj mnie, przyjacielu.
Zaprawdę, że ludziom łatwo
Mówić grzeczności wzajemne;
Rozrzucać słowa przyjemne,
Obchodzić się z ludźmi jak z dziatwą
Przynęconą na łakocie;
Albo dawać cięgi mocne
Jak palmy przedwielkanocne
Umoczone całe w złocie,
Owite kwiatki złotemi...
Tak, że wchodzą do kościołów
Jakby z krainy aniołów
Inne drzewa, nie z tej ziemi...
Toteż zwyczaj u nas żyje,
Że wierzbą z kwietnej niedzieli
Bijesz własnych przyjacieli,
Mówiąc, że wierzba je bije,
A tyś nie winien, że boli...
Raz w rok żart jest pozwolony,
Uświęcone kłamstwa tony,
Aby się duch, tej swawoli
Dorwawszy, znalazł spoczynek
I spod niańki się wyłamał,
Objadł się cukru, rodzynek,
A potem – rok cały nie kłamał
I z prawdą już nie swawolił.
Więc jeżeli w prawdę wierzysz,
A Bóg ci miecza pozwolił,
Bić kazał – a nie uderzysz,
Choćby serce własne krając,
Ale uderzysz igrając
Jak arlekin, nie jak człowiek;
Jeżeli prawdy piorunem
Nie spalisz grzesznika powiek:
Nie jesteś wtedy piastunem
Boskiej powagi i chwały.

STAROŚCIC

Słuchałbym ciebie dzień cały,
Ojcze Marku.

KS. MAREK

Przed wieczorem
Będę miał słuchaczy...
Bo z całą szlachtą, z nieszporem,
Wiodąc nawet tłum żebraczy,
Pójdę do wroga.

STAROŚCIC

Dziś, panie?

KS. MAREK

Dzisiaj, w dzień Zielonych Świątek.

STAROŚCIC

A tu w mieście któż zostanie?

KS. MAREK

Ot, ta gromada dzieciątek,
Która się na piasku bawi,
Młynki na kałużach stawi
I cieszy się, że drzewiny
Ścięte na ulicach więdną
Polsko! nie jesteś oszczędną!
Te klony, te jarzębiny,
Te brzozy – las cały młody
Przyniosłaś sobie do miasta;
Prawdziwie, jak ta niewiasta
Między judzkimi narody
Sławna – że flaszeczkę całą
Bardzo drogich aromatów
Wylała na Zbawcę światów,
O której rzekł, że mu ciało
Uprzedziła na pogrzeb pomazać.
I któż by jej śmiał zakazać
Tej rozrzutności? – niewieście,
Która Zbawcy śmierć przeczuła,
I cały słoik zepsuła,
I roztłukłszy alabastry,
Rozlała po całym mieście
Woń tego balsamowania. –
Więc i dal naszej hałastry
Ostatniego pomazania
W tych drzewach pachną oleje!...
I zaprawdę! – nasze dzieje,
Gdy nas srogi los połamie,

Pachnąć będą w tym balsamie
Długo w umarłej krainie;
Szczególnie małej dziecinie,
Co się zbudzi i obaczy
Las cały z kalin czerwienią
Stojący przed domu sienią;
Gdy jej dziadek wytłumaczy
I pod cieniem tych drzew powie,
Że tak czynili ojcowie,
Którzy już dawno są w grobie:
To dziecko poczuje w sobie,
Przejęte smutkiem i strachem,
Patrząc w smętne oczy dziada:
Że i tym nawet zapachem
Ojczyzna do niego gada...

błogosławiąc plac

Czy słyszysz, jak ten las śpiewa,
Listeczków tracąc ostatki?
Błogosławione wy, drzewa!
Błgosławione wy, dziatki,
Rosnące przy kraju męczeństwie...

STAROŚCIC

Panie – dzwonią na nieszpory.

KS. MAREK

Idę – a po nabożeństwie,
Choć starości krok niespory,
Wycieczkę Pańską prowadzę.
Bo mam na to rozkaz Boży
I taką nad ludem władzę –
Że Kosakowski mi złoży
Komendę... i stąd wyleci
Jak czarny szatan nieczysty...
Bo mi anioł promienisty
Rozkazał – abym z tych dzieci,
Które mam – nie stracił żadnego.

Wychodzi

STAROŚCIC

Chciałbym gdzie Kosakowskiego
Ostrzec, że burza go czeka.
Szkoda byłoby człowieka!

I strach... ach, strach, gdyby zorze
I to słońce, już czerwone,
Na morderstwo zapatrzone,
Zachodziło po nieszporze...
Gdyby smętna twarz księżyca
Ujrzała pod cerkwi ścianą
Szarą szlachtę porąbaną
Za księdza i za szlachcica.
Gdyby znów nocne pojawy,
Ten Chrystus strasznej bladości,
Z dziurami na wylot w kości,
Ubiczowany i krwawy,
Jak kometa, co z podróży
Powraca – pokazał miecze
We krwi, co z grobów się kurzy
I po mogilniku ciecze.
I odleciał z tymi mgłami,
Zostawiwszy nas trupami.

GŁOS ZA SCENĄ

Aj! wej!

STAROŚCIC

Krzyków pełno w mieście.
Słyszę wrzask – i szlochanie niewieście.

Wpada Judyta z nożem w ręku, za nią Kosakowski i Bojwił.

JUDYTA
do Kosakowskiego

Nu! ja cię nożem przebiję,
Ja nie twoja nierządnica...

do starościca

Panie! od tego szlachcica
Ratuj! Skoczył mi na szyję
Jak wąż, jak płomień spod ziemi
Wyskoczył do mnie w alkierzu.
Patrz! on cały w prochu, w pierzu,
Z oczyma zapalonemi
Jak Edomit...

KOSAKOWSKI

Milcz, szatanko!

JUDYTA

Patrzaj ty na mnie, człowieku!
Jestem Izraelitanką.
Mój Bóg nie wisiał na ćwieku,
Nie pił octu i piołunów,
Ale stał na wielkiej górze
Pośród dwunastu piorunów
W czarnej i ognistej chmurze
I rozbłyskał się na całe niebiosa:
Otóż ten Bóg teraz broni
Każdego mojego włosa,
A pioruny trzyma w dłoni,
Bóg Izraela i Judy,
Pioruny nad twoją skronią!
A jak spojrzy – to się z góry pokłonią!
A jak błyśnie – to ślepota na ludy!
A jak zagrzmi – to się groby odsłonią,
A jak ścichnie – świat się cały odmieni,
A skrę rzuci – to świat będzie z płomieni
I w słoneczne się ognie roztrzaśnie;
A brwi zmarszczy na czole – to zgaśnie
Jako węgiel pod wodą i syknie;
A gdy rękę podniesie – świat zniknie
I nie będzie ani mnie, ani ciebie,
Tylko ciemność i sam Pan Bóg na niebie...
I któż jesteś ty? gwałtowny goimie?
I któż jesteś ty, chrześcijaninie?
Że chcesz Bogiem być judzkiej dziewczynie
Jak ten drugi, co w Jerozolimie,
Choć poselstwa do Judy nie mając,
Zaćmił księżyc i słońce konając.
Któż ty jesteś? nu – że chodzisz cieniem
Jak duch jaki za owczym gdzieś runem?
I dotykasz się piersi – piorunem?
I z rąk chwytasz za szyję – płomieniem?...
Nu – ty zginiesz jak duch w błyskawicy!
I przy lampie, co stoi przy łożu,
Łba twojego – w żydowskiej miednicy
Twoi słudzy obaczą przy nożu,
I przelękną się łóżka i ciała...
Nu! – ja sama, gdy to rzekła, zadrzała –
A ty nie drzysz? Któż ty jesteś, człowieku?

KOSAKOWSKI

Na twe czoło wykąpane
W ptasim gołębicy mleku!

Na twoje usta różane,
Których łuk napięty drzy!
Na ten szprejtuch, który skrzy
Niby złoty jaki kruż,
W środku pełen białych róż!
Na twe oczy, z których bije
Razem żar i noc, i dzień!
Na twoją łabędzią szyję!
I na ten błękitny cień
Twoich rzęsów, który spada
Aż na rubin twoich lic!
Na tę głowę, gdzie gromada
I brylantów, i rubinów
Pali się jak tysiąc świec
Lub nad głową cherubinów
Z różnych gwiazd uwity kłąb!
Na każdy z perełek ząb,
Co jak skrzydełko gołębie,
Bieląc czepca aksamity,
Spuszcza się na skroń błękity!
Na każdą perłę w tym zębie,
Co jakoby grochy duże
Zwinęły się w srebrną różę
I twoją głowę oblały!
Na ten, mówię, skarbiec cały
I klejnotów, i piękności!
I na królestwo miłości
Przysięgam...

JUDYTA

Co?...

KOSAKOWSKI

urągając

Miłość wieczną.
Bojwile – pod straż bezpieczną
Wziąć mi tę synogarlicę.

Bojwił chwyta Judytę i unosi ją do karczmy.

STAROŚCIC

do Kosakowskiego

Puść waćpan tę Żydowicę...

KOSAKOWSKI

Co? czy chcesz się rąbać o nią?

STAROŚCIC

Zgoda...

Dobywają szabli i biją się. Starościc pada.

Dostałem śmiertelnie...

KOSAKOWSKI

Sam się przebiłeś tą bronią.

STAROŚCIC

Rana pali mię piekielnie...
Księdza!

KOSAKOWSKI

Trzymajże za brodę
Duszę, aby nie uciekła.
A ja księdza przywiodę...

Odchodzi

STAROŚCIC

W tej krwi, co ze mnie wyciekła,
Więdnie moja blada skroń...
Jezu! Jezu! Ty mię broń
Przed skonaniem od rozpaczy!
Cóż tam będzie. gdy zobaczy
Matka moja, starościna,
Że na marach niosą syna
Przez posępne z lip aleje?
A z mar, syna krew się leje,
A służący trupa kryją:
Cóż tam będzie, gdy zawyją
Moje psy u moich bram?
Gdy mój stary dziadek sam
Przyjdzie, klęknie w czarnej sali,
Oczy wlepi w moje oczy
I na nogach się zatoczy,
I na ciało się powali,
I na piersiach mi zaryczy!
Jezu! Jezu!

Wchodzi Kosakowski wiodąc Księdza Marka w ubiorze mszalnym, z monstrancją – w głębi pokazują się zbrojne tłumy konfederatów ze sztandarami.

KS. MAREK

Kto tu krzyczy?
Kto tu z jękiem woła Pana?

STAROŚCIC

Moje serce – moja rana
Boleśne usta otwiera
Jęcząc w śmierci i w tęsknocie.

KS. MAREK

Kto ufa – ten nie umiera.

STAROŚCIC

Mówisz o wiecznym żywocie!

Zamyka oczy i kona.

KS. MAREK

Zaprawdę, kto nie doczeka
Na jasny męczeństwa wieniec,
A krew rzuca jak szaleniec
Pod miecz drugiego człowieka
I drogie utraca ciało;
Gdy tej krwi biednej tak mało
Tutaj na obronę bożą:
Wart, że go w trumnie położą
Ludzie, przy bladym świeczniku;
I zapomną o nim na ziemi
Jak o zdrajcy, niewdzięczniku,
Niewartym nawet powszednej
Modlitwy – jednego krzyża,
Niewartym nawet łzy jednej!...
Lecz Chrystus, co się przybliża
Do twych ust pełnych rozpaczy,
Które go wołały z jękiem:
Człeku, niechaj ci przebaczy.
I niech twój grobowiec młody
Ukraińskich kwiatów wdziękiem
Okwitnie. – O Boże! Boże!
Jakie to matkom zawody!
Jakie dla ich serca noże!
Jakie za miłość wypłaty
Takie wczesne dziatek straty!
Takie śmierci z marnych sprzeczek

Wynikłe, zgony gwałtowne,
A tamte, co są dla Boga.
O! jak te garstki kosteczek,
Które śmierć odnosi sroga,
Drogie im w dzieciństwie były!
Ile mleka! łez wypiły!
Ile za nimi pacierzy
Pobiegło w złote niebiosa!

Zamyka mu oczy.

Umarł... Trup przed wami leży,
Młodzieniec złotego włosa,
Wczoraj jeszcze kwiat młodzieży! –
Oto zszedł ze świata tego
Syn jaśnie oświeconego,
Dziedzic Barku i Ladawy,
Na wejściu w związki książęce. –
Weźcie ten pierścionek krwawy
I oddajcie go panience.
A nad trupem, co tu leży,
Zaśpiewajcie Anioł Pański.

Pokazuje na Kosakowskiego.

A oto służalec szatański,
Człowiek i pijanica,
Pusty jak diabła kaplica,
Krzykun jak wojna kokosza,
Złodziej publicznego grosza,
Obdzierca domów, kapituł,
Chodząca jakaś szkarada;
Do którego nie przypada
Żaden dawny polski tytuł.
Starosta? – lecz on na głowie
Nie ma zasług ani lat!
Podskarbi? – sam niechaj powie,
Niechaj publicznie obwieści,
Ile grosza wczoraj skradł!
Cześnik? – ale on bez cześci!
Miecznik? – ale on jest kat!
Nawet nie człowiek! bo oto
Leży jego jeden brat,
Z którego krew szczerozłotą,
Tak czystą, młodą, rumianą,
Ojczyźnie ofiarowaną,
Ten człowiek wytoczył z serca.
Więc nie człowiek, lecz morderca
Stoi pod nami i zgrzyta.

Otóż mówię w imię Boże,
Że odtąd jako banita
Pójdzie na świata bezdroże,
Jako sztanowie czarni,
Pędząc gdzieś pod błyskawice,
Do mglistej w deszczu latarni,
Przez krwią zbryzgane ulice,
Śród zgiełku i tarabanów;
Z odwagą w sercu umarłą,
Bez sądu, położyć gardło. –
Proszę więc wielmożnych panów,
Abyście go od tej chwili
Jako zdrajcę opuścili,
Jak Moskala się wyrzekli,
Jak od choroby uciekli,
Zamknęli sąd jak nad ściętym,
Jak dla węża łez nie mieli,
Jak o zmarłym zapomnieli;
A myśląc jak o wyklętym
Żegnali się i truchleli. –
A ty na twój koń czerwony
Siadaj... bo drzysz jak niewiasta.
A jeśli dla swej obrony
Nie masz wyrzec nic? – precz z miasta!

SZLACHTA
wyprowadzając Kosakowskiego

Oczy jego obłąkane,
Milczy i z ust toczy pianę.

KS. MAREK

Posadźcie go na rumaka,
Dajcie w rękę szablę gołą
I połóżcie ją na czoło
Jak miesiąca w półpromieniach.
Śniła mi się postać taka
W przenajświętszych objawieniach;
Żem ją Duchem Bożym cisnął
I gnał w ciemność krzyża znakiem,
A za nim i za rumakiem
Cztery razy piorun błysnął.
Królestwo Świętych Proroków!
Najświętsza Panno Maryjo!
Każ, niech mi pioruny biją,
Proszę o salwę obłoków
I grzmoty: Salve Regina!

SZLACHTA

Niebo się łyskać zaczyna,
Koń rycerza na kieł bierze.

KS. MAREK

Gwałty, morderstwa, grabieże,
Precz z Polski!

SZLACHTA

Grzmot już tu bije. –

KS. MAREK

Wszemu duchowi, co żyje,
I tym, którzy przyjdą nowi,
Czyści stać przy Bożym prawie,
Tym kielichem błogosławię.

Błogosławi chmury śród ognistych trzaskawic.

Chwała Ojcu i Synowi,
I Duchowi Świętemu chwała!

SZLACHTA

Niebo od piorunów pęka,
Z wałów biją wszystkie działa.
Kto żyw, niech przed Bogiem klęka!
Pan zwycięża! Narody giną!

KS. MAREK
śród najmocniejszych piorunów

Gloria in excelsis Domino!

SZLACHTA
na klęczkach

Pioruny trzęsą biegunem!
Panie! proch z nas i ofiara,
Lituj się naszego jęku!

KS. MAREK

Wstańcie! Teraz wasza wiara
Zapalona – jest piorunem,
A ja ten piorun mam w ręku.

Chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów.

SZLACHTA

Idźmy, prowadzi na wały...
Dzień to zwycięstwa i chwały!
Dalej z działkiem za rajtarią!

CECHOWY

Naprzód sztandar z Panną Marią
Naszą świętą z Poczajowa...
Słyszycie? To Suworowa
Bateria gra posępnym basem
Kantyczce naszej do wiersza.
Odezwała się najpierwsza
Pod Hawryszowieckim lasem...

GŁOS SPOZA SCENY

Cud! cud!

CECHOWY

Co tam?

GŁOS SPOZA SCENY

Jedna ruska
Bateria z ziemi porwana.
A na płomieniach Wulkana
Zjawienie!... I wał konnicy,
Której koń we krwi się pluska,
W samo morze z błyskawicy
Jak wał żelazny się wali...

CECHOWY

Wszelki duch Chrystusa chwali!
Bez harmat my, bez oręża,
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

Wychodzi z sztandarem i z resztą ludu. Scena oświecona posępnie błyskawicami, pusta, przez cały ciąg słychać odgłosy dalekiej walki. Kosakowski wlatuje waląc się z konia – z drugiej strony spoza karczmy wychodzi Bojwił

KOSAKOWSKI

Zwierzgnął mię rumak przelękły,
Popręgi u siodła pękły.

Wyleciałem stąd jak śpiąc,
Obelżony, duchem złaman.
Gdzie ten ksiądz? Gdzie ten czart ksiądz?
Każę ćwiczyć po ulicach,
Będzie bity tak jak Aman.

BOJWIŁ

Ktoś tutaj przy błyskawicach
W ognistej ulewy skrach
Stoi jak upiorny strach.
Co to jest? To rotmistrz nasz?

KOSAKOWSKI

Obelgami zlał mi skronie,
Piorunami dał mi w twarz.
Przed nim siedział duch mój w łonie,
Jako robak w trupie siedzi,
Bo głos księdza jak dzwon z miedzi,
W który kula uderzyła,
A twarz jako słońce była,
A w źrenicach mocy sto.
Czy jest tam kto? czy jest tam kto?

Stuka do karczmy.

BOJWIŁ

W tej karczmie nie ma nikogo,
Tylko żydowska dziewczyna,
A na belce trup rabina.

KOSAKOWSKI

Otwórz! otwórz!

BOJWIŁ

Jakąś trwogą
Wskroś przejęty, nie śmiem, panie.
Trup ci przed oczyma stanie,
Trup rabina się pokaże.

KOSAKOWSKI

Otwórz! otwórz! Ja ci każę!
Niech widokiem tym ohydzę
Moje oczy...

BOJWIŁ

W oczach ćmi się
Od błyskawic – drzwi nie widzę.

KOSAKOWSKI

Oczy moje jasne, rysie,
W oczy tego Żyda wszczepię,
Na bladościach je oślepię
I na strachu zahartuję.
Tysiąc trupów mi się snuje
Przed oczyma, widma same!
I ja widmo. – Otwórz bramę!
Choćby ją sam szatan kuł
I przed piekłem ją postawił,
Szablą ją rozetnę wpół.

Bije we drzwi szablą – i brama się odmyka, ze środka rozepchnięta... w bramie pokazuje się Judyta w worku szarym ubrana, z bosymi nogami.

Jakiż mi się szatan zjawił?

JUDYTA

Nu! – Czemu bramę rozbito,
Gdzie ja odprawiam bosiny
Po ojcu?

KOSAKOWSKI

To ja, Judyto.

JUDYTA

Ach... czemu ty taki siny
Jak zabójca? oczy w słup?

KOSAKOWSKI

Daj wody, pragnę jak pies.

JUDYTA

Nu – ja ci dam moich łez.
Nie chodź tu. bo w karczmie trup.
A ja sama siedzę boso
Na popiele, w szarym worze.
Póki trupa nie wyniosą,
Żaden goim wejść nie może,

Gdzie Zydówka na bosinach,
A przed nią trup na drabinach
W śmiertelnej leży koszuli.

KOSAKOWSKI

Judyto...

JUDYTA

Nu – co?

KOSAKOWSKI

Chcę wody.

JUDYTA

Nu – czy ty żebrak na kuli?
Ty możesz robić – ty młody;
Młode jeszcze twoje lata,
Możesz być hyclem u kata.

KOSAKOWSKI
dobywając szabli

Jezu!

JUDYTA

Ha – ty przy orężu?

KOSAKOWSKI

Kobieto! szatański wężu!
Co świszczesz urągowiskiem,
A nie drzysz przed szabli błyskiem,
Spokojna i balda jak kréda.
Wiedz, że z mojego rozkazu
Powieszono tego Żyda,
Bo mię zdradził...

JUDYTA
Przez ciąg jej mowy słychać ciągle odgłos dalekiej walki.

Nu, do razu
Ja to zgadła i wiedziała,
Że się to przed Bogiem wyda.
Ty okradł i zabił Żyda,
I z jego martwego ciała
Zostawił posag Żydówce;
A sam poprowadził hufce
Jak wiatr, co się w polu miota,

Jako Polak patryjota,
Jako rycerz krwią czerwony,
Jak pan wielki oświecony,
Jak twej ojczyzny dobrodziej;
Choć ty zabójca i złodziej
Brzęczysz od mojego złota;
A ja, przez ciebie sierota,
Przy okradzionym kantorku
Siedzę, w popiele, na worku,
A przede mną z trupem drabina.
Nu – czy ty wiesz, jak rabina
Trup po śmierci straszny, srogi?
Jak do wschodu leży głowa?
A z drabiny sterczą nogi?
Czy ty wiesz, co się nazywa
U chłopów noc rabinowa?
Co dęby w puszczach porywa,
Domy znosi jak namioty
I całą noc sypie grzmoty
Głośne jak Jehowy słowa:
A dlaczego rabinowa?
Nu? – a czemu piorun głuchy
Taki jasny? a świat drzący? –
Bo to są rabinów duchy,
Nu – i trup się ten modlący,
Co siedzi wtenczas w bożnicach,
Przy wichrze i błyskawicach,
Pod czarnym kahałów dachem,
I z pacierzem, i z rejwachem,
I z płaczem aż do niebiosów,
I z jękiem, i z rwaniem włosów,
I z żałobliwymi słowy,
Modlący się do Jehowy,
Aby zdjął już z Izraela
Przekleństwo. – A gdy Jehowa
Piorunami wtenczas strzela
I sprawuje taki zamęt:
To widać, że płacz i lament
Panu Bogu się podoba;
Że biednych Żydków żałoba
Pioruny jego zapala.

Słucha grzmotu dział.

Nu– tam teraz u Moskala
Wielki strach Chrystusa Pana.
Ksiądz wziął krzyże, zdjął ornaty,
Duchem rozrywa harmaty;
I w białym świeci habicie,

I krwi ma aż po kolana.
A ja tu, żydowskie dziécię,
Sierota w waszej krainie,
Siedzę przy trupiej drabinie,
Przy wietrze, co wieje od trupa;
A pode mną popiołów kupa,
A na mnie wór podły, szary;
A ja podobna do mary
Z twarzą bielszą od miesiąca,
Z zabójcą rozmawiająca,
Z szczęścia jak kwiat oberwana,
W żałości jak obłąkana,
O zabójstwie jakby śniąca,
A we śnie łzami zalana,
A w strachu – jak wiedźma blada,
A zemstą – w niebo porwana,
A w przekleństwach jak piorun, co spada!

w najwyższej egzaltacji przy odgłosie dział

Nu – więc teraz ja się zrywam
I o ściany tłukę głową.
Ja przekleństwem się nazywam
I nazywam się zagubą,
Krwią i burzą rabinową,
Wichrem, deszczem, nocą grubą,
Duchem, gwiazdą, trumną, trwogą!
Bo w tym sercu są wichrzyce,
Co was i rozerwać mogą!
Nu! bo w duchu błyskawice,
Co świat cały mogą spalić!
Bo oto ja tchnęła na pole
I chorągwie zaczęły się walić,
I wasz duch leży na dole
Podobny wężowej chmurze;
A ja tu stoję na górze
I podnoszę zemsty ramię!
I nogami go depcę i łamię!
I odpędzam precz z pola do miasta!

Strzały harmatnie ustają nagle.

Abyś wiedział, że judzka niewiasta,
Będąc w usprawiedliwieniu
Przed Bogiem swego zakonu
Zemstą ojcowskiego zgonu:
Jest jak noc, cała w płomieniu,
Jest jak burza, cała w mocy,
Jest jak siła, cała w ciszy,

Jest jak głaz w Dawida procy,
Jest jak płacz, który Bóg słyszy,
Jest jak grad, co bije w twarze,
Jest jak strach, co serca napełnia,
Jest jak miecz, którym Bóg karze,
Jest jak sąd, który Bóg spełnia. –
Ten sąd macie, chrześciajny,
Ja go na was trzęsę z rąk!...

W najwyższej furii trzęsie ręce nad głową i rzuca garściami przekleństw na pole.

KOSAKOWSKI

Żydówko, ja twoich mąk
Nie winien – bo obłąkany
W zupełnej nieprzytomności
Dałem znak chustą czerwoną;
I mój rozkaz wypełniono,
Wypełniono bez litości.
A jam tu powracał po to,
Bym Żydowi oddał złoto,
A porwał córkę żydowską.

JUDYTA

Kogo, powiadasz, goimie?

KOSAKOWSKI

Przysięgam na Matkę Boską,
Ciebie samą.

JUDYTA

Powiedz imię?

KOSAKOWSKI

Judytę.

JUDYTA

O! wielki Boże!
Kiedy wczora ja w komorze
Całował twoje nogi,
A ty jak pan wielki szumiał:
Ty ust moich nie zrozumiał?
Ty mię nogą pchał z podłogi
Jak człek, co gałganem miota!

A dziś czy ja tobie droższa
Przez to, że dziś ja sierota?
I od Żydów najuboższa,
I od kobiet niegodziwsza,
I od wszystkich węży mściwsza,
Śmiertelniejsza od żelaza!
Że ja?... Nu, ja – jak zaraza
Dmuchnęła i wiatr popsuła!
Nu – ja, prawda, co mówicie,
Igiełkami dzieci kłuła
I wieszała na suficie,
I robiła ze krwią ciasto.
Nu, a teraz wasze miasto,
Chociaż wiem, że sama zginę,
Tak zakłułam jak dziecinę,
Aż krwią skapie, purpurowe.
Jeśli ty kat – to nie czekaj,
Lecz mi szablą zetnij głowę,
Rzuć za siebie i uciekaj
Pełny trwogi i popłochu:
Bo tam w karczmie, patrzaj! z lochu,
Widma, co zagaszą słońce!

KOSAKOWSKI

Wielki Boże! w karczmie Dońce!
I piechotny bagnet świta!
Ty zdrajczyni!

JUDYTA

Ja, Judyta!

Wchodzi do karczmy.

KOSAKOWSKI

Bojwile – miasteczko wzięte.
Czyńmy to, co jeszcze można.
A ty, coś wydała święte
Kościoły, furio bezbożna!
Przysięgam ci, że powrócę,
Za włosy ciebie pochwycę
I w żar płomienisty rzucę,
I spalę jak czarownicę,
I strzaskasz się, jak suchy pień.
Gdzie mój koń? – To sądny dzień!

Bojwił i Kosakowski wychodzą. Z karczmy wychodzi Kreczetnikow, jenerał moskiewski, Suwarow, oficer, Adiutant i moskiewskie wojsko.

KRECZETNIKOW

Tak się przez Żydów każde miasto bierze.
Suwarów, weźmij z sobą sotko ludzi
I od klasztoru postaw żołnierze,
Aby schwytali księdza codotwórcę.
Ten mózg, co twoje dziś rękawy brudzi,
Krew, koralowej podobna paciorce,
Któraś na czole błyszczy – bestio dzika!
Zrobiły z ciebie dzisiaj pułkownika.

SUWAROW

Sława Rosjanom!

Odchodzi.

KRECZETNIKOW

Gdzie jest pan Branecki?

ADIUTANT

Gada z karczmarką.

Wychodzi.

Wchodzi Branecki prowadząc za rękę Judytę, już ubraną jak uprzednio, w pięknym Żydowicy stroju.

BRANECKI

Na honor szlachecki!
Nigdy piękniejszej nie widziałem jędzy.
Dałem jej kiesę pieniędzy;
Rzuciła na ziemię złoto,
Zdjęła worek, z bladej twarzy
Obtarła popiołów błoto
I stoi cała w klejnotach
Jak paw, kiedy rozwachlarzy
Ogony.

JUDYTA

Nu – wy w namiotach
Mieli od mojego sługi
Pokazany ten loch długi,
Idący tu do piwnicy.
Teraz wy jak na gościnie

U rabina Żydowicy.
Szanujcie ludzkie żywoty.
Niech tu żadna krew nie płynie,
Niech tu nie grzmią żadne grzmoty,
Bo...

BRANECKI

Bo i cóż?

JUDYTA

Bo ja proszę...

BRANECKI

Na twoją instancją wnoszę
Tę prośbę do jenerała,
Aby wiatrem nabił działa
I kul nie dawał harmatom:
A manifestami z lawet
Walił w tył konfederatom,
Oddawszy im to wet za wet,
Co nam niosła ich wymowa,
Za wiatr – wiatr; za słowa – słowa.

JUDYTA

Nu, kto ty, co im urągasz?
Czy ty pies, że ludzkie kości
Na polu zębami ciągasz?
I nad trupem jesteś w złości?

BRANECKI

Co, najpiękniejsza z karczmarek? –
Wziąć ją, ręce związać sznurem.
Niech czeka.

Moskale wiążą Judyty ręce w tył i krępują powrozami. Adiutant wchodzi prowadząc Księdza Marka pod strażą.

ADIUTANT

Oto ksiądz Marek,
Pod samym klasztornym murem,
Z szablą w ręku, wzięty w plen.

BRANECKI

Co? Ksiądz Marek? Oszust ten?
Czy to ty jesteś, mój klecho?

KS. MAREK

Ja sam.

BRANECKI

Bądźże nam pociechą
I grzesznych orędownikiem.
Księże, tęgim jesteś ćwikiem,
Oszukiwałeś rok cały
Wszystkich nabożnych i głupich;
Biłeś się jak jenerały
I chciałeś sobie z głów trupich
Wybudować kazalnicę,
Skąd byś mógł do króla gadać...
Czas ci na osiołka siadać,
Przejechać się przez stolicę;
Gdzie już nie podolskie mózgi
I szlachecka cię głupota
Przyjmą, ale kat i rózgi.
Bo ta twoja tu robota,
Te bunty i te powstania
Warte tylko wysmagania.

KS. MAREK

Czegokolwiek one warte,
Pokornie proszę waćpana,
Abyś me piersi rozdarte
Lekarzom opatrzyć kazał.

BRANECKI

A gdzież ty tak habit zmazał?
A gdzież wzięta owa rana?

KS. MAREK

Na polu z ręki Moskala.

BRANECKI

Jak to? Więc Pan Bóg pozwala,
Że i święci noszą blizny?

KS. MAREK

Tak, mospanie; dla Ojczyzny
Pozwala Pan Bóg i świętym...

BRANECKI

A rózgami być ociętym?

KS. MAREK

I to zniosę.

BRANECKI

Kreczetnikow,
Daj mi, proszę, dwóch burłaków
Z sekty twoich biczowników,
Bo w całym hufie Polaków
Nie ma ludzi... a ten klecha
Zna się na bicia dobroci.
Patrz, jak się na to uśmiecha,
Że Moskal mu kość wymłóci...
Hej – bić go tak, aż krwią się spluszcze!

Stają żołnierze przy księdzu.

KS. MAREK
pokazując przed sobą palcem na ziemię, do Judyty

Upadnij tu na kolana,
Córko, niechaj ci odpuszczę.
Idę do mojego Pana.

JUDYTA
rzuca się na kolana szlochając.

Przeklnij! przeklnij...

KS. MAREK

Ja, Judyto?
Oto naród mój zabito!
Oto patrzaj, tam, w oddali
Płomień... Dom się Boży pali
Nad ognistej krwi strumieniem;
I niebo kole płomieniem
Jak miecz Archanioła kręty,
Już na brusie pociągnięty,

Ostrzem postawiony w górę.
Miecz, gotów karać naturę!
Ludzi – że są przeciw cnocie,
Braci – że rwą serca bliźnie,
Polaków – że przeciw Ojczyźnie,
Niewinnych – że są w ciemnocie,
Winnych, że w jasności ślepi.
Oto miecz z płomieni różnych,
Co wkrótce niebo rozszczepi,
Potem się na domach próżnych
Powali, świszcząc jak żmije,
I powali, i nakryje
Gwałty, płacz, mordy rumiane,
I to miasto wyrzynane
Jak anioł ognia pochłonie.
I podobny jest koronie
Z hyjacyntu, z chryzolitu,
Śród gwiazd białych i błękitu
Przez duchy boskie trzymaną;
Aż naród zegnie kolano,
O Bogu pomyśli w burzy;
I na to ogniste wiano
Męczeństwem ducha zasłuży.
I jest jeszcze jako kręta
Burza, co płomieni ręką
Porwała tam sakramenta;
Krzyże, hostie z Pańską męką,
Obrazy przeświętych wzorów,
I grobowce fundatorów,
I podłogi, które rosi
Ludu łza, nawet kamienie;
Zawinęła je w płomienie
I Panu Bogu odnosi.
Więc i te drzewa żałobne,
W Zielone Świątki sadzone,
Których pnie takie czerwone,
Listki jak iskierki drobne
W rubin na nitki znizane,
Jak struny wichrem odwiane,
Ogniem zajęte przy korze:
Te drzewa – to harfy Boże,
Od kościelnego krawędzia
Idące rzędy długiemi,
To Dawidowe narzędzia
Hymnów, które tu na ziemi
Śpiewają mi z tryjumfalnych
Pieśni długie litanije,
Od aniołów niewidzialnych
Duchową ręką trącane.

Widzę Boga! Któż mi oczy zakryje?
Chwały niewypowiedziane
Widzę! Głosy wielkie słyszę!
Boga! co mi ogniem pisze
Nowy rozkaz, nowe prawo!
Oblewa mnie swoją sławą!
Ogniami męczeństwa złoci!
Pan Bóg mój pełny dobroci!
Którego mię rany bolą,
A wola jest moją wolą.
I ja, przez tych świateł krocie
Oświecony, miałbym, córo,
Nie przebaczać tu ślepocie?
Lecz we krwi umoczyć pióro?
Ja, którego Bóg dziś słucha,
Wydać mam na twego ducha
Wyrok na wieki tracący? –
Owszem, węgiel gorejący
Na bladych ci ustach kładę;
Zmazuję wszelką szkaradę,
Wszelkie jady, co je ślinią;
Abyś była prorokinią
Przyszłą między twoim ludem;
Nawrócenia żywym cudem,
Jedną z tych, co w kraju jęczą,
Jedną z tych, co boleść dzielą,
Jedną z tych, co go weselą,
Jedną z tych, co w przyszłość wierzą;
Świecącą przymierza tęczą,
Świecącą, aż pioruny uderzą
I z chmur spędzą jak ostatnią pochodnię.
Bo wiedz, córko – że wszystkie ci zbrodnie
Odpuszczone są na wieki wieków.

Obraca się do Moskali.

A teraz krzyża i ćwieków –
A co macie czynić, czyńcie prędzej.

Wyprowadzają go straże.

JUDYTA

On przebaczył – bo ja w nędzy,
Bo on wie, co ja cierpiała...
Puśćcie mnie do jenerała,
Do ruskiego wojownika.
Nu... niech on księdza nie tyka,

Bo straci całe obozy,
Piorun mu spadnie na ramię.

rwąc na sobie powrozy

Bo tak – jak ja rwę powrozy,
Tak ja mu wojsko połamię!
Spalę lud jak błyskawica!

MOSKALE

Czarownica! Czarownica!

JUDYTA

Nu – ja wolna przed grabieżą
I przed ogniem, i przed katem.
Jeśli tam księdza uderzą
Jednym tylko, jednym drutem:
Tak wy padli z całym światem!
Tak krew wasza jednym łutem
Nie zaważy przed krwią Judy!...
Nu, tam! patrzcie! oto cudy!
Oto w pożarach wychodzi
Ksiądz męczony!

BRANECKI

Co to znaczy?
Kto nam tu stracha przywodzi?
To ksiądz... tysiąc sto kartaczy!
Widmo po pas obnażone
Z katowskiej wychodzi chaty.
A za nim wleką się katy
Niby dwa słońca czerwone,
Niby dwa czerwone duchy,
Zgięci jak żebracy na kulach;
I biją się po koszulach. –
A koszule markietanów
Od czarnej smagalnej pluchy
Są jak skrzydła u szatanów,
Oczy przenikają zgrozą,
Powietrze całe czerwienią...

Wchodzi Ksiądz Marek

KS. MAREK

Lub się serca w katach mienią,
Lub Pan oczy zaćmi ślozą...
A ciemna to była chata,
Gdzie mię po pas obnażono.
Więc zamiast bić w moje łono,
To kat się rzucił na kata
I we krwi się oba pluszczą...
Rozłączcie ich, bo się nie puszczą,
Aż skonają.

KRECZETNIKOW
do katów za sceną

Precz, sobaki!
Wziąć ich – zanieść do szpitala.
Branecki, cudownik taki
Harmaty nam pozapala,
Zrobi bunt w moskiewskiej armii. –
Ach! tam Katarzyna karmi
Tyle mnichów ruskiej wiary,
A wszystko chłopy do miary,
Poszczą chlebem i jesiotrem:
A żaden cudów nie umie.

BRANECKI

Poszlij jej Żydówkę z tym łotrem.

KS. MAREK

Cokolwiek w twoim rozumie
Ułożysz, to nie pomoże.
Bo ja tu ciało położę
Pierwsze dla kraju i wiary.
I mój kopiec jak sztandary
Będzie trwał – aż wiek przeminie;
Aż ludzie z jasnymi skrońmi
Pokażą się w tej krainie
Wchodząc ducha mego bramą.
Więc nie porwiesz mię stąd końmi!
Ani nawet śmiercią samą!
Mój duch wiecznie tu i ciało
Przyszłego kościoła skałą.

KRECZETNIKOW

Hej, z kibitką kapitana!

KS. MAREK

Patrz, kogo wysyłasz ze mną,
Bo na drogach Pańskich ciemno
I często jest krwią zbryzgana
Ta ciemna i nocna droga,
Krwią szaleńców roztrąconych o Boga.

AKT TRZECI

Plac w Barze... Wchodzi Kosakowski, ubrany jak sługa szpitalów zadżumionych, w smolnej koszuli, w kapturze.

KOSAKOWSKI

Zaraza, co tu panuje,
Gdzie Moskale wiatr popsuli,
Gorsza od miecza i kuli,
Tysiącami ludzi truje,
Z trupów czarnych urodzona,
Stojąca jak widmo na wale.
Pełne Moskalów szpitale,
Każda karczma zarażona,
Każdy człowiek straszny, blady,
Sine włóczą się gromady
Z krwią i ogniem pod powieką,
Zgniłe prześcieradła wleką,
A głowy w skrwawionych chustach
Wspierają na rękach chudych,
Z węglem i ze krwią na ustach,
Pełni plam zielonorudych,
Ponurzy jak rozbójnicy,
Jak wilcy na krew gotowi.
Przypatrzyłem się ludowi,
Co tam przed Boharodycy
Namiotem klęczy i leży,
Pałaszami namiot kraje
I Boharodycy łaje,
Nazywa ją matką żołnierzy,
I pochlebia, i klnie na przemiany.
A tak wszystko zaraza rozprzęga,

Że oto w smołę ubrany,
Rzuciwszy na plecy haki
Jak koń, który się zaprzęga
Do ciał, włóczę te sobaki,
Wyciągam z miasta za bramy
I rzucam nagie do jamy;
A nikt o to nie zapyta,
Kto ja jestem? skąd przychodzę?
Mógłbym sztyletować wodze,
Mógłbym zatruć wód koryta,
Mógłbym – wszędzie chodzę wolny –
Wejść aż do jenerałowej
W nocy, jako upiór smolny,
Wziąć lampę, która u głowy
Przy srebrnym obrazie świeci:
W kołysce podpalić dzieci,
Blaskiem zbudzić matkę śpiącą
I z pochodnią gorejącą
Jak upiór – wynijść z sypialni.
Tymczasem błądzę jak pijany
Pośród tej okropnej szczwalni,
Gdzie zaraza swe szatany,
Psy swoje czarne puściła...
Gdzie dom... spojrzeć, to mogiła;
Gdzie łóżko – tam trup być musi.
Par cięży, powietrze dusi,
Gwiazdy jakby przelęknione
Chodzą smętne i czerwone;
Wyją psy na pustych bramach
I rwą zębami łańcuchy.
A w polu, przy trupich jamach,
Jakieś płomienie jak duchy
Stoją, czasem szyję zegną
I za człowiekiem tak biegną
Kolory z ognia fałszywe,
Tak lecą jak trupy żywe,
Owinięte przez płomienie,
Jak moje za mną sumnienie!
Bo to ja, com tu zaszczepił
Ruinę, gwałt, mord rumiany.
W żądzach niepohamowany,
Kiedy mię szatan oślepił
Leciałem gryząc wędzidła,
Własne rzuciwszy sztandary. –
I przeze mnie ten ksiądz stary
Odbieżany szedł na boje
Jak ptak bez jednego skrzydła,
Żebraków zebrawszy roje
Zbrojne w siekiery i kosy,

Siwe swe rzuciwszy włosy
Za sztandar i męczenników
Krzyżem oświecając złotym.
Ja zbieg! zdrajca jego szyków!
Gdy siadłem nad trupów rowem,
Kiedy pomyślałem o tym:
Gdy ten ksiądz z czarnym okowem,
Jasny jak światło jarzące,
Stanął mi w myśli upiorem;
Gdy do nieba podniósł ręce
I pokazał nad klasztorem
Ogień, dym, czerwone dachy,
I w cieniu ruskie bermyce,
I na tych bermycach blachy
Jak złote wielkie księżyce
Ciągnące ku pożarowi:
Ból i strach mię przejął mrowi:
I przysięgłem furią zdjęty,
Że choć sam, chociaż wyklęty,
Zbawię go albo tu zginę.
A tę żydowską dziewczynę
Będę trzymał w mojej mocy,
Porwę i gdzieś w czarnym jarze
Zrobię z nią, co Pan Bóg każe.

Wchodzi Judytya.

JUDYTA

Co zrobisz ze mną, goimie?
Nu – ksiądz mi odpuścił święty.
Ja przyjęła sakramenty
Z jego rąk i mam na imię Salomea...

KOSAKOWSKI

Więc ksiądz żywy?

JUDYTA

Ksiądz, on człowiek sprawiedliwy,
Umrze, gdy go Pan obudzi,
Nu – on nie lęka się ludzi...

KOSAKOWSKI

Ale go pletniami zbito?

JUDYTA

A kto tego bicia liczył?
Jego palmami zakryto
Słonecznymi od niebiosów;
A kat się na śmierć zaćwiczył
I szedł krwią kapiący z włosów,
W koszuli. cały rumiany,
Przez siebie zakatowany
Na śmierć... i umarł w szpitalu.
Nu – a potem w tym Moskalu
Była myśl księdza uwozić,
Na Sybirze gdzieś zamrozić.
Więc okuli jemu nogi,
Ubrali go w chłopskiej świtce,
Położyli na kibitce,
Kon zaprzęgli do niej srogi,
I szalony, i gorący,
Jak smok dyszlem targający.
I siadł na kibitce zwoszczyk,
I kapitan w hełmie z blachy,
A blady był jak nieboszczyk,
I usiedli dwa szyldwachy.
A noc była ciemna, głucha.
Wielki lament i rozpacze;
Słychać było, że lud płacze,
Słychać było, że Bóg słucha;
Bo stanęła po rejwachu
Jakaś wielka cichość strachu,
Gdy kibitka się ruszyła
Z naszym ojcem śród miasteczka.
Bo wieść między Żydków była,
Że on, ten ksiądz, jak owieczka
Dał się okuwać w kajdany,
Że mu krew bluznęła z rany,
Że był znowu biczowany,
W pysk przez Braneckiego bity,
Jak trup – dlatego zakryty
I cały we krwi czerwony;
Bez sił – dlatego niesiony,
Bez ducha – bo już nie jęczał,
A w łańcuchu, bo zabrzęczał,
Gdy go kładli do kibitki. –
Nu, i potem tylko kitki
Tych Moskali jak płomienie
Poleciały na stracenie,
Poszły w ciemność z wielką burzą.
Nu, a ludzi było dużo
Na tym placu, wszyscy czarni,

Przy jednej tylko latarni,
Która była pałająca,
Bez gwiazd żadnych i miesiąca,
W nocy na strasznej pustoszy,
Jak na jakim grobowisku.
Nu, a kiedy Pan Bóg spłoszy
Konie jakie na urwisku?
To co? – A jak noc głęboka
Krwawą zbryzgana rosą,
A rogatki nie podniosą
Dla jadącego proroka,
To co? – Głowy się strzaskały!
A on zostal jeden cały,
A na wozie ludzkie trzewo,
Trup na prawo – trup na lewo,
Kapitan przy swoim Dońcu,
Zwoszczyk żyw, lecz jak śmierć biały.
I wóz jego we krwi cały,
A ksiądz jakby cały w słońcu
Na wozie, w męczeńskiej szacie,
Jak na jakim majestacie
Jechał spokojny i żywy.
Bo on człowiek sprawiedliwy
I święty...

KOSAKOWSKI

Słuchaj, Judyto,
Zwiedź mię ty z tym karmelitą.

na stronie

Ach, łza jej do pereł grochu
Podobna... zemstę już gasi...

JUDYTA

Prorok wasz zamknięty w lochu.
A czy są rycerze wasi
Blisko? Ja go wam wyzwolę.

KOSAKOWSKI

Ty?

JUDYTA

Przy waszym apostole
Ja córka i stróż.

KOSAKOWSKI

Ty sama?

JUDYTA

Nu, ja mu wolności brama,
Ja mu róża od Saronu,
Chociaż bardzo bliska zgonu;
Ja konwalia mu pachnąca
I wolnością, i weselem....
Nu, ja stąd odlatująca
Jak duch jaki do miesiąca,
Z całym dawnym Izraelem:
Aż powrócę – bom duch wielki,
A u Panny Zbawicielki
Na niebie oczekiwana.

KOSAKOWSKI

W imię Ojca, Ducha, Pana!
Co ty gadasz?

JUDYTA

Nu, ja sama
Nie wiem... Miasto dziś podpalę,
Ogień włożę pod szpitale;
Aż chorzy wyjdą z płomieni
I o księdza będą prosić;
I po mieście zarażeni
Biegać i ogień roznosić,
Kołdry targając ogniste...

KOSAKOWSKI

Co ty mówisz? Jezu Chryste,
Szpital palić!

JUDYTA

Nu – a oni?

KOSAKOWSKI

Niechaj ciebie Pan Bóg broni
Od tak haniebnego czynu.

JUDYTA

Gdyby z każdego rubinu,
Co na czepcu moim świeci,

Była iskra, niechaj leci!
Niechaj się za dachy chwyta!

Zrywa z czepca drogie kamienie i rzuca na wiatr.

Nu... ja nie Polka – ja mściwa –
Ja Żydówka! ja Judyta!

KOSAKOWSKI

Słuchaj, dziewczyno straszliwa!
Piękność twoja nieśmiertelna,
Jakaś straszna i piekielna,
Ząb perłowy, kiedy zgrzyta,
To mi serce w piersiach lata.
Słuchaj, ty jesteś bogata
I ochrzczona – córko grzmotów!
Ja się z tobą żenić gotów.

JUDYTA

Nu – a ojciec?

KOSAKOWSKI

Żyd wisielec.
Co mi tam twój ojciec znaczy!
Odprawiłaś już popielec
I bosiny po rabinie...

JUDYTA

A jak jego duch zobaczy?

KOSAKOWSKI

W jakiej ty żyjesz krainie,
Że o trupach zawsze gadasz?

JUDYTA

Czy ty wojnę wypowiadasz
Wszystkim duchom Izraela?

KOSAKOWSKI

Czart oczami twymi strzela,
Ogień leje w serca cieśnie,
Głowę wprawia w obłąkanie.
Dziś widziałem ciebie we śnie

Jakby jakie malowanie,
Że już byłaś na stracenie
Prowadzona w żar, w płomienie,
A z płomieni były róże,
A ty w różach jak w altanie,
Uczepiona ręką w górze
Za krzyż.

JUDYTA

Ty śnił prawdę świętą.

KOSAKOWSKI

Judyto – gdyby cię wzięto
I śmiercią, ogniem grożono;
Ty znasz moją klacz czerwoną,
Co przeleci miasto całe
I wyleci drugą stroną.
Tylko klaśnij w ręce białe,
Tylko padnij mi na łono,
Tylko chwyć się jak zbawienia:
A ja z grobu i z płomienia
Wyrwę ciebie po sto razy!

JUDYTA

A czy wyrwiesz z rąk zarazy?

KOSAKOWSKI
Strach mię zdjął.

JUDYTA
Nu, ja ze łzami
Mówię tobie, mój goimie,
Że przepaść jest między nami...
Naprzód – twój ród, twoje imię,
Co odrzuca to zamęście,
A potem – moje nieszczęście
I mój los. Bądź zdrów na wieki!
A może przyjdzie daleki
Jaki czas dla mego ducha,
Że mnie mój Pan Bóg wysłucha
Modlitwę moją gorącą,
Za twoje szczęście proszącą.

Wychodzi.

KOSAKOWSKI

We łzach, w obłąkaniu stoję...

Wchodzi Bojwił przebrany za chłopa.

BOJWIŁ

Panie, widać nasze zbroje
Wiejące nam od północy
Z tchem od ukraińskich kwiatów.
Nowy huf konfederatów.

KOSAKOWSKI

Idźmy... Przed nadejściem nocy
Może na czas przybędziemy
Poprawić straconej sławy.

Namiot. Wchodzą Kretecznikow, Branecki i Raportowy Oficer.

KRECZETNIKOW

Na pochód wymaszerujemy
Aż na Wierżchowieckie stawy.
Już tam ja w szlacheckie dworce
Posłał i dzieci, i żonę.
Jej Boh... miasto zarażone.
Mści się Bóg za cudotwórcę.

BRANECKI

Czy jenerał gada serio?

KRECZETNIKOW

Ot wy z waszą fanaberią,
Francuszczyzną, nie widzicie,
Że tu wojska mego życie
Po przekleństwem bunt podnosi...
A ot za tym cudownikiem
Pułk jeden żałobnie prosi,
Abym go im jałmużnikiem
Zrobił – i archimandrytą...
A gdyby jeszcze odkryto,
Co mi dziś piszą w depeszy;
Boże, pomiłuj na niebie,
To ot – trup ze mnie i z ciebie.

BRANECKI

Cóż za wieści?

KRECZETNIKOW

Człowiek grzeszy
Ciekawością, mój Polaku.
A mądry, kto sekret chowa.

BRANECKI

Co? czy umarła carowa?

KRECZETNIKOW
wpadając we wściekłość

Szto ty skazał? – Ty na haku
Będziesz wisiał za te słowa.
Małczy, Lach! Caryca żywa.

BRANECKI

Niech się pan jenerał nie zrywa,
Bo ja także hetman jestem,
A jestem tu w moim kraju.

KRECZETNIKOW
w pasji

A czemu ty z naszym chrestem?
Naszego dworca lokaju!
Szambelanie z epoletką!
W jakim ty kraju, szlachetko?
W jakim ty kraju, łachmanie?
Tu ja pan – my gospodarze!
Ot miasteczko wyrznąć każę,
Dam ci sztukę w nos, hetmanie,
I każę na szubienicy
Powiesić, porąbać w ćwierci...
I napiszę do carycy,
Że ty o carycy śmierci
Rozpowiadał... precz z komnaty.

Branecki wychodzi.

Hej, niech nabiją harmaty,
Niech nabiją wszystkie działa
I na tego jenerała
I na hułany obrócą.

niech włożą zaraz bagnety!
Niech mi z miasta precz wyrzucą
Te błoto... Ot francuszczyzna!
Olejki i toalety!
Gdy we krwi cała ojczyzna,
Wino im kapie na brodę.

Wchodzi Adiutant Braneckiego.

Cóż tam od panów Polaków?

ADIUTANT

Pan jenerał uprasza o zgodę,
O wojennych naszych znaków
Złączenie... a oto w liście,
Obrażony osobiście,
O satysfakcję uprasza.

KRECZETNIKOW
drąc list

Szutki – ja nie konfederat
Ani młokos do pałasza:
Jeśli pan jenerał nierad,
Żem go uderzył po wstędze,
To niech się w żałobnej księdze
Rozpisze...

ADIUTANT

Toż mu odpowiem.

Wychodzi.

KRECZETNIKOW
do raportowego

A jak tam z wojskowym zdrowiem?

RAPORTOWY

Po stu codziennie umiera,
Grenadier w grenadyjera,
Chłop w chłopa... i co dzień gorzéj...

KRECZETNIKOW

Niech kancelaria położy
W dzisiejszym dziennym rozkazie,
Że kto się podda zarazie
I położy na tapczany;
Za pierwszy raz tysiąc pałek,
Za drugi raz – rozstrzelany.

RAPORTOWY

Słuszaju's. – Braknie nam skałek
I prochu...

KRECZETNIKOW

Ot i to szutka
Puławskiego, co nam bierze
Po drodze wszystkie jaszczyki. –
No – jak zadzwoni pobudka,
Rozdać pomiędzy żołnierze
Kamaszowe, nowe trzewiki,
Pompony, kogucie pióra
I kaszy... niech krzyczą hurra!

RAPORTOWY

Słuszaju's...

KRECZETNIKOW

Precz, raportowy!

Raportowy ochodzi. Wchodzi Adiutant Braneckiego.

ADIUTANT

Pan mój jako afront nowy
Uważa obelgę nową,
Pana jenerała słowo
O uderzeniu po wstędze.

KRECZETNIKOW

Nu – proś go, proś na herbatę.

ADIUTANT

Nie wiem, czyli go dopędzę,
Bo wyjechał z sekundantem...

KRECZETNIKOW

Powiedz mu, że na harmatę
Strzela się z paniczem frantem,
Karciarzem – jenerał stary.

Adiutant wychodzi.

Oj dobrze, że my te Bary
Przycisnęli! – Ot depesza,
Że tam jakiś car w Kazaniu
Jenerały nasze wiesza
I o carycy porwaniu
Zamyśla w imię Piotrowe.
Oj dobrze, że my powstaniu
Polskiemu urwali głowę
Nie dopuściwszy odsieczy;
Bo gdyby – spasij nas, Boże! –

Żegna się.

Od takiej okropnej rzeczy –
Gdyby im pana we dworze,
A księdza puścić z łańcuszka,
To ot – i Moskwa matuszka...
Spasij, Boże! spasij, Boże!

Żegna się.

Ot gdyby tu wojownika,
To czart wziął państwo Ruryka.
Spasij, Boże! spasij, Boże!

Wchodzi Adiutant Kreczetnikowa.

ADIUTANT

Panie, pod wieczorną zorzę
Widać pułk konfederatów.
Chcieliśmy wystrzelić z wałów,
Lecz brak i kul, i granatów.

KRECZETNIKOW

Rzucić kilka pustych strzałów
Na to obdarte husarstwo.
A potem te pany Lachy
Prosić na parlamentarstwo.

ADIUTANT

Słuszaju's.

Odchodzi.

KRECZETNIKOW

Ot nowe strachy!
Ot nam w mieście pewny cmentarz,
Najstraszniejszy z mogilników,
Gdzie nam ziemia oczy wyje;
Jeśli to huf Pułaszczyków,
Jeżeli ten parlamentarz,
Co tu przyjedzie, nie pije.

Wjeżdża konno Kazimierz Puławski, za nim pieszo Kosakowski, zawsze przebrany.

K. PUŁAWSKI
zsiadając z konia

Ty smolny parobku dżumy,
Potrzymaj mego rumaka.
A strzeż mi dobrze czapraka,
Bo tu kradną.

KRECZETNIKOW
na stronie

Pełny dumy.

K. PUŁAWSKI
wchodzi.

Jenerale – twoja chrobra
Gromada bez kul strzelała.
Jest to grzeczność jenerała
Zapewne, nie brak w jaszczykach?
Zapewne myślał jenerał,
Że mi się pułk poobdzierał,
Że mam dosyć dziur w trzewikach
I w czapkach wiatrzanych świstów; –
Za tę grzeczność sijatelską
I jego artylerzystów
Dziękuję...

KRECZETNIKOW

Czy z przyjacielską
Ręką? –

K. PUŁAWSKI

Przyszliśmy po księdza.

KRECZETNIKOW

Nie mogę. – Jej Bohu, buntowszczyk!

K. PUŁAWSKI
zimno

Pana jenerała zwoszczyk
Z końmi przez nas dziś schwytany.

KRECZETNIKOW

Tak i miejcie, moje pany,
Moje konie, niech popasą.

K. PUŁAWSKI

Wózek z jenerała kasą...

KRECZETNIKOW

Tak w złoto umoczcie dłonie.
No – ja złota mam niemało.

K. PUŁAWSKI

Pana jenerała żonie
Także się nieszczęście stało:
Zebrana z żołdactwa rojem
Jak nienabita harmata.

KRECZETNIKOW
z wielką trwogą

A rebiata?

K. PUŁAWSKI

Nu – rebiata
Także u nas i z konwojem,
I z panią jenerałową.

KRECZETNIKOW
przysiadając i kładąc ręce na kolana

Nu – tak ja dam na to słowo,
Że ty pan Kaźmierz Puławski.

K. PUŁAWSKI
Być może...

KRECZETNIKOW

Więc proszę – z łaski,
Nim pogadamy o rzeczy,
Na wypitkę i prykuski.
Bo choć ja jenerał ruski,
Od Rena pewny odsieczy,
Uzbrojony przeciw tobie
I w proch, i w dobry rynsztunek:
To ja ku twojej osobie
Taki wielki mam szacunek,
Że chciałbym choć raz z weselem
Z tobą pić jak z przyjacielem

K. PUŁAWSKI
A ksiądz Marek?

KRECZETNIKOW
Nu, niemało
Ja z tym księdzem miał roboty!
Co jeszcze z niego zostało,
To wam oddam. – Jakieś grzmoty –
Co to znaczy?

Słychać zgiełk za sceną. Wbiega Adiutant

ADIUTANT
Jenerale,
Ktoś pozapalał szpitale;
Buntują się starowierce
Przy blasku ogni czerwonych.
Mówią, żeś ty zarażonych
Kazał w szpitalu podpalić.
Szpital, jak ogniste serce
Bijące w dymu szatanie,
Już pękł i zaczął się walić,
I pokazał na tapczanie
Wskróś, przez otworzone deski,
Trup zielony i niebieski
W trwodze oddający ducha.

Potem się ta zawierucha
Skier, ogni, dymów gorących
I ludzi uciekających
W kołdrach, w pokrwawionych chustkach
Zebrała na czarnych pustkach
Pogorzałych karmelitów...
Tam twój sierżant jeden, Tytów,
Chciał chorym dawać nauki,
Ale żołdactwo pijane
Rozerwało go na sztuki,
Tak że i ciało rumiane
(Straszne markietanek dzieło!)
W oczach mi nagle zniknęło
Cudownym prawie sposobem;
Niewidzialnym niby grobem
Ukradzione dłuższej męce
Przez oszukanie natury.
I tylko czerwone ręce:
Straszne, wzniesione do góry,
O tym człowieku świadczyły;
Bo innej nie miał mogiły
Oprócz tych dłoni ohydnych,
Jasnych – od pożaru widnych,
Nad głowami buntowników,
Tych rąk, tych szponów, krwawników.
Ach, i pierwszy tam raz w życiu
Słyszałem w ludzkim zawyciu
Zwierzęce głosy człowieka.
Z ludzi się zrobiła rzeka,
Z rzeki morze krwią rumiane,
A jeszcze pohamowane
(Któż by rzekł!) – dziewicy głosem.
Jedna, panie Żydowica
Blada, z rozpuszczonym włosem,
Jedna, jak cudotwornica,
Wiedma, co w ogniu się pali,
Śród tych rąk, lasu korali
Ohydnych, ze łzami w oku
O polskim księdzu proroku
Krakała jak kruk na dachu.
A co przydawało strachu
U zabobonnych Moskali,
To jedno umierające
Dziecko. – Jak w zamku Walhalli
U dziewic na piersiach miesiące –
Tak to dziecko zawieszone
Na piersiach jej, już zielone,
Już nie dziecko u kobiety
(Jak to lud powtarzał głupi),

Ale do czarów użyty
Jakiś wielki miesiąc trupi,
Ukradziony u gwiaździarzy. –
Dość, że za nią poszły pułki,
Za nią starowierce starzy.
Aż skry, ogniste jaskółki,
Na Żydowicę napadły;
I od włosów jeść począwszy,
Ciągle przerażoną jadły,
Aż upadła. – Chciałem wtedy,
Pomiędzy ludem stanąwszy,
Choć Szwed, mówić do czeredy:
Ale ledwiem się pokazał,
Krwią mię obłoconą zmazał
Ów lud, który cudzoziemca
Szweda kładzie obok Niemca
I obu równo przeklina...
Została mi więc jedyna
Obrona w dobytej szpadzie,
We wzroku i w rejteradzie
Spokojnej, we lwa odwrocie.
A wtenczas żołdactwa krocie
I różnej broni motłochy
Napadły na ciemne lochy,
Gdzie polskiego księdza skryto,
I przed białym karmelitą
We krwi i czarnych kajdanach,
Popadały na kolanach,
Sine pokazując strupy
I krzycząc, że zaraza je goni...

KRECZETNIKOW

Ot ja teraz poszedł w trupy!
Ot Puławski, szpada w dłoni
I śmierć dla Kreczetnikowa!
Powiedz tam, niech będzie zdrowa
Moja żona, moje dziatki.
Ot nieszczęścia! ot wypadki!
Już ja trup, pokojnik Boży!

Puławski odkrywa namiotu skrzydło i pokazuje się plac pełny żołnierstwa, chorych szpitalnych. Niektórzy leżą prawie nadzy na tapczanach, trupom podobni. W środku motłochu, na rusztowaniu z łóżek szpitalnych, stoi Ksiądz Marek z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie.

K. PUŁAWSKI
wstrzymując Kreczetnikowa

Stój! gdzie lecisz?

KRECZETNIKOW

Puść, niech ginę!
Niech się ziemia pode mną otworzy!

KS. MAREK

Dziatki moje blade, sine,
Leżące u nóg jak żyto:
Tam wasz jenerał z dobytą
Szpadą śmierci szukający;
A ja tu, nędzarz cierpiący,
Egzaltowan w ludzi tłoce,
Pasterz... Bo Pan niebios pragnie,
Aby tu dwie były moce,
Jedna, która ciałem nagnie;
Druga, co duchem podniesie
I ukorzy w imię Pana:
Siła wielka! niesłychana!
Która przy żywota kresie
U wielkich duchów się jawi,
A tę – ludzie wydać muszą –
Bo kto ją w sercu zostawi,
Ze łzą, z chlebem ludzkim strawi
I uniesie razem z duszą,
Niebieskiej pragnąc korony,
A tu nie pomoże światu:
Ten zaprawdę! potępiony!
Łachman z Bożego szkarłatu!
Gwiazda upadła z anielstwa,
Gasnąca w błotnej kałuży!
Duch na wieki bez poselstwa,
Bez ciała, które mu służy,
Bez serca, co w piersiach bije,
Spadnie, w ziemię się zaryje
I Boga prosi o litość. –
A to jeszcze wielka skrytość
U ludzi – to ducha prawo,
Nie głoszone na ambonach,
Patryjotyzmem i sławą
Z ludzkich serc czasem dobyte,
A zaszczepione już w łonach,
Jak dzieciąteczko spowite
W duszy, na rubinach śpiące.

Bo oto ludzi tysiące
W jednej chwili strach poczuli,
I mnie, żebraka, żebraka na kuli,
Do krwi ubiczowanego,
Jeszcze w niezakrzepłej bliźnie,
Jeszcze we łzach po ojczyźnie,
Jeszcze od męki krwawego,
Jeszcze w śmiertelnej bieliźnie,
Jeszcze w gorączkowych żarach,
Jeszcze w smętku i na marach,
Na rękach swoich wynieśli:
Abym jako piastun Cieśli
Siadł na moim majestacie,
Rozkazał odejść zatracie,
Zarazie czarnej ustąpić.
Więc jeżeli będę skąpić
Dziś mojego w kościach ducha,
Jak człowiek, co jęków słucha
I z łez sobie wieniec plecie;
Jeżeli jeszcze na świecie
Żywot mi się upodoba,
I ta mych wrogów żałoba,
I to ich upokorzenie,
I to na deskach siedzenie,
Które dał Ojciec Niebieski,
Kładąc mi szpitalne deski
Jak męczennikowi tronem;
Jeżeli pogardzę zgonem,
Serca litością nie ruszę
I duszy nie mam za duszę,
Z ciała wyzwolić nie zdołam:
Lecz wstanę – Pana zawołam,
O zemsty jego kropelkę
Poproszę – gromu, co bije,
Jak mściwy człowiek użyję
I przyzwę śmierć jak mścicielkę;
Wszyscy zginiecie straceni.
Bo oto wy przerażeni,
Nad głowami nie widzicie,
Że na pożarnym błękicie
Kościotrup śmierci w czerwieni
Tańcuje z trzaskiem goleni,
Kiściami zarazy śnieży,
Wije kłębem nietoperzy,
Żółtą kością ciągle miga;
I z ust okropnych wyrzyga
Kartelusz ogniotęczowy,
Na którym imię Jehowy,
Zatraciciela narodów,

Wywrotnika twierdz i grodów,
Pisane ogniście stoi.
Któż tu jest, co się Boga nie boi?
Oprócz trupów – kto nie zadrzy przed Panem?
Ja sam jeden, okryty łachmanem,
Zakrwawiony, knutem zbity,
Ja sam, który za naród cierpiałem,
Ja sam, który mymi jelity
Pasłem serca – i serca kawałem
Nakarmiłem tych, co serca nie mieli;
Ja sam jeden stoję w bieli
I śmiem spojrzeć ku Panu ogniście,
I zawołać Nań o sprawiedliwość.
Oto naród mój jak zwiędłe liście!
Oto zdrady i serc niegodziwość!
Oto pierwsza niewoli godzina,
Co się przez wiek ciągnąć będzie!
Oto harfa płaczu ta mieścina!
Oto gołe kościoła krawędzie,
Przez które już kozom skakać
I róść trawie na dawnych mogiłach! –
Panie Boże, nie pozwól mi płakać!
Ducha mego utrzymaj przy siłach;
Nie bierz mię w niebieską sferę,
Krzyczącego miserere,
Łamiącego dłoń na głowie. –
Kto mię słucha, Ojczyźnie niech powie,
Że sztandar zatknąwszy w Barze,
Ległem sam na tym sztandarze
Broniąc go duchem i ciałem,
A przy śmierci sam jeden zostałem.
Kto tu śmierci jest mojej przytomny,
Niech widzi, jak ręka Boża,
Biorąc jeden duch ogromny,
Podnosi całe stworzenie;
Nawet trupy ściąga z łoża
I przez trumien odemknienie
Pomiędzy ludzkimi duchy,
O zrzucającym łańcuchy
Zaświadcza pośród śmiertelnych.
Kto żyw – niech słucha weselnych
Harf, co grają różnym tonem;
Kto duch – niech duchowi memu,
Jak księżycowi złotemu,
Będzie blaskiem i ogonem.
Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem, stróżem i patronem;
I wyżej porywać dusze,
A żadnej ziemią nie skalać;

Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny:
A teraz zdjąć z tej mieściny,
Gdzie włada dżuma i trwoga,
Zarazę jak sztandar siny,
I z chorągwią tą odejść do Boga,
Do którego mię boleść porywa.

K. PUŁASKI

Ojcze Marku!

KRECZETNIKOW

Podnosi ramiona.

K. PUŁASKI

Pochodni blaskiem opływa,
Bladnie, oczy mu gasną, już kona.
Za trupami dostąpić nie można.
Wokoło ciżba nabożna
Rozrywa jego habity,
Całuje wychudłe ręce.
Jaki zgiełk! światła jarzące
I zarażonych błękity,
Twarze zielonawej cery,
Spisy, płaszcze i giwery,
I łoża, co jeszcze płoną
Jakby w obchód świętojański!
Prawdziwy kurhan słowiański,
Który po śmierci wzniesiono
Nad pierwszym z naszych rycerzy.

KRECZETNIKOW

Bić z harmat! Niechaj tu leży,
Niechaj się go lud dotyka
I położy na sztandary.
A ja sam poniosę mary,
I polskiego wojownika
O pomoc proszę w posłudze.

K. PUŁAWSKI

Jenerale, ręce cudze
Dotknęły się tego ciała
I to ciało już nie nasze:
Ale jego duch i chwała,
Przelana w polskie pałasze
I serca, świadectwo wyda.

A jak tu się teraz wznosi
Zmartwychwstańców piramida
I to ciało łzami rosi,
O życiu świadcząc płakaniem:
Tak my... (odgłosy moje wieszcze!)
Wszyscy, wszyscy zmartwychwstaniem!
Wszelki duch! i ten, co jeszcze
Nie pomyślał o hańbie narodu.
Teraz idę z tego grodu,
A serce mama tak ruszone:
Że ci oddam dzieci, żonę
I po tym buncie wojskowym
Na dwa dni wytchnąć pozwolę.

do jednego z Moskali

Gdzie jest ów parobek w smole,
Strażnik mojego rumaka?

MOSKAL

Na koniu purpurowym
Widzieliśmy tego ptaka.
Jak kruk odlatywał gdzieś z łupem,
A nie wiemy, czy z chorągwią, czy z trupem,
Bo to, co za nim leciało,
Było jak ogień i ciało.

K. PUŁAWSKI

Ten lud, widzę, cały chory,
Wszędy, gdzie oczyma skinie,
Widzi ogień i upiory:
A ja wszędy w tej krainie
Widzę jedną wielką bliznę,
Jedną moją cierpiącą Ojczyznę!

KONIEC

NAJWAŻNIEJSZE ODMIANY TEKSTU

AKT PIERWSZY

FRAGMENT AUTOGRAFU ODPOWIADAJĄCY WIERSZOM 89 – 90

Bo ta wielka zawierucha
Niebios jak źdźbła nas rozmiecie
I krwią tylko w niebo bryźnie –
Co ruchu w niebieskim świecie,
Bogdajby tyle w ojczyźnie

FRAGMENT AUTOGRAFU ODPOWIADAJĄCY WIERSZOM 503 – 506

KS. MAREK
po chwili namysłu

Zagrzmi działo...

Słychać głuchy strzał rozrywającej się harmaty.

MARSZAŁEK

Zaprawdę z wałów zagrzmiało...

KS. MAREK

Świadcząc, żeście Bożym ludem.

na stronie

Zbroja jak na trupach brzęczy –
Martwym wy jesteście ludem.

AKT DRUGI

FRAGMENT AUTOGRAFU ODPOWIADAJĄCY W. 609

Jest jak strach, co serce napełnia.

AKT TRZECI

FRAGMENT AUTOGRAFU ODPOWIADAJĄCY W. 558

Exaltowan w ludu tłoce.